NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 1 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie w biurze G. Ungra w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. **Kraków, 18 października 1913.** **Nr. 42.**

Pożar na morzu.

(Treść na str. 3).



Pogrzeb ś. p. A. Małeckiego.

W milczeniu zaległy tłumy ulicę Ossolińskich we Lwowie. Ze wszystkich stron kraju naszego pospieszyło obywatelstwo, aby oddać ostatnią posługę jednemu z najzacniejszych, najdzielniejszych szermierzy dla sprawy polskiej. Usnął na wieki mąż wielki, uczony niepośledni, patryota szerokiego serca, zgasł starcem w podeszłym wieku w tem mieście, które patrzyło na kilkadziesiąt lat życia jego, żmudnego i pracowitego.

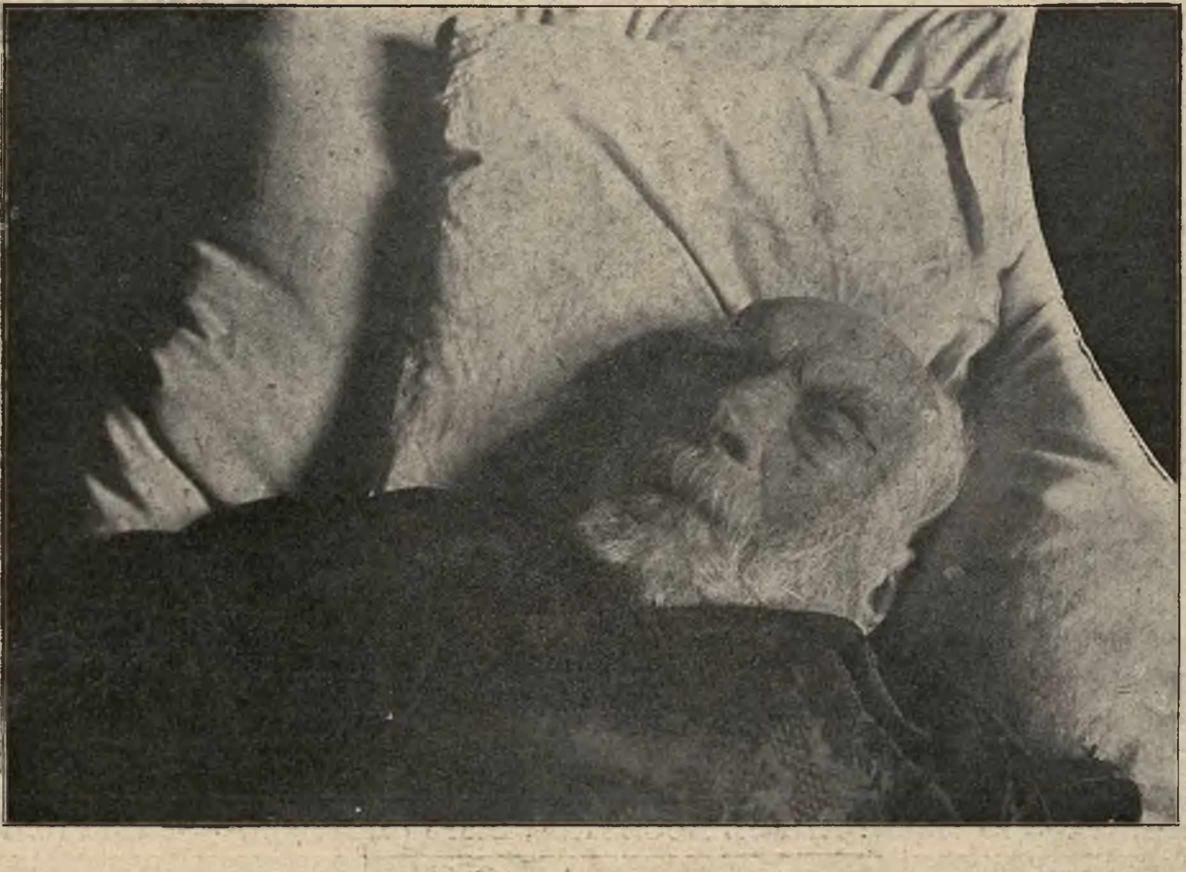
To też pogrzeb ś. p. Małeckiego był formalną manifestacyą. Wśród poważnego nastroju, w smutny dzień jesienny poniesiono do grobu szczątki te, opłakiwane powszechnie, szanowane i cenione.

Na dziedzińcu Ossolineum zebrali się wszyscy wybitniejsi ludzie Lwowa, Krakowa i kraju, a więc minister Długosz, namiestnik dr. Korytowski, marszałek kraju hr. Gołuchowski, cały Wydział krajowy, posłowie, senat Uniwersytetu lwowskiego i delegaci Wszechnicy Jagiellońskiej, reprezentanci Politechniki, rada m. Lwowa, naczelnicy władz, instytucyi, reprezentanci towarzystw i t d.

Modły przy zwłokach odprawił ks. arcybiskup Bilczewski w asystencyi ks. biskupa Bandurskiego i w otoczeniu licznego duchowieństwa.

Kiedy po chwili trumna ze zwłokami ukazała się pod domem żałoby, rozległy się poważne dźwięki „Beati mortui“, a na mownicę wstąpił kurator Ossolineum ks. Lubomirski. W serdecznych słowach żegnał on zmarłego imieniem instytucyi, w której 44 lat przepracował. Po nim przemówił rektor Wszechnicy lwowskiej, dr. Starzyński. Nakreślił on barwną sylwetkę zmarłego jako literata i profesora Uniwersytetu.

Następnie imieniem Akademii Umiejętności i szeregu towarzystw, których zmarły był członkiem, przemawiał prof. dr. Kallenbach. Wyrazy hołdu i niewygasłej pamięci imieniem Wszechnicy Jagiellońskiej złożył prof. dr. Kostanecki z Krakowa. W imieniu lwowskiego wydziału filozoficznego przemawiał prof. dr. Bruchnalski, a jako ostatni imieniem Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu żegnał zmarłego prof. dr. Jan Kasprowicz.



Pogrzeb ś. p. A. Małeckiego: Ś. p. A. Małecki na łożu śmierci. (Fot. M. Münz, Lwów).

Wreszcie o godz. 4 popołudniu ruszył olbrzymi kondukt żałobny z pod Ossolineum. Na czele szły tłumy młodzieży szkolnej, potem stowarzyszenia ze sztandarami, wreszcie rydwan, zaprzężony w trzy pary koni, wiózł zwłoki. Wieńce, których było kilkadziesiąt, wieziono na osobnym wozie.

Żałobny pochód przeszedł ulicą Kopernika i zatrzymał się pod kolumną Mickiewicza, gdzie imieniem miasta Lwowa przemówił wiceprezydent dr. Rutowski.

Na cmentarzu po odśpiewaniu żałobnych modlitw przemawiał jako ostatni mowca prezes lwowskiej „Czytelni Akademickiej“, żegnając wielkiego męża nauki imieniem młodzieży akademickiej.

Wzdłuż całej drogi, którą kondukt przechodził, płonęły latarnie, przybrane kirem.

W dzisiejszym numerze podajemy szereg illustracyi z pogrzebu.

Uroczystości „Gwiazd“ we Lwowie.

W życiu obywatelskiem, zwłaszcza na prowincyi, w Galicyi odgrywają wybitną rolę stowarzyszenia zwane „Gwiazdami“. Powstały one przed kilkudziesięciu laty, jako odruch budzącego się poczucia do obywaselskiej pracy wśród mieszczaństwa i sfer rękodzielniczych i z biegiem lat rozwinęły się przeważnie w silne organizacye, które w swem łonie w naszych miastach i miasteczkach skupiają wszystkich chętnych do pracy, przedewszystkiem ze sfer rękodzielniczych i rzemieślniczych.

„Gwiazdy“ w historyi swojej przechodziły różne fazy wahań. Tworzone jako stowarzyszenia bez charakteru politycznego, oparły swą pracę na budzeniu uświadomienia narodowego oraz podjęły wśród sfer mieszczańskich misyę stworzenia ośrodka oświatowego i rozrywkowego, w którym zarówno można by poważnie pracować, jak i znaleźć godziwą zabawkę i rozrywkę.

To też przy „Gwiazdach“ obok Kółek naukowych i bibliotek powstały Kółka amatorskie, śpiewackie i t. p., skupiając, zwłaszcza na prowincyi, całe życie towarzyskie w swem łonie. Poza tem



Uroczystości „Gwiazd“ we Lwowie: Grupa uczestników uroczystości poświęcenia domu mieszkalnego „Gwiazdy“ lwowskiej. (Fot. K. Skórski i L. Wieleżyński, Lwów).

„Gwiazdy“ prowadzą Kasy zapomogowe oraz pożyczkowe.

Aby pracę tych stowarzyszeń ujednostajnić i pokierować odpowiednio, zebrali się przed kilku laty delegaci „Gwiazd“ z całej Galicyi w Krakowie i utworzyli Krajowy Związek „Gwiazd“, którego zadaniem jest popieranie poszczególnych stowarzyszeń i kierowanie ich pracą.

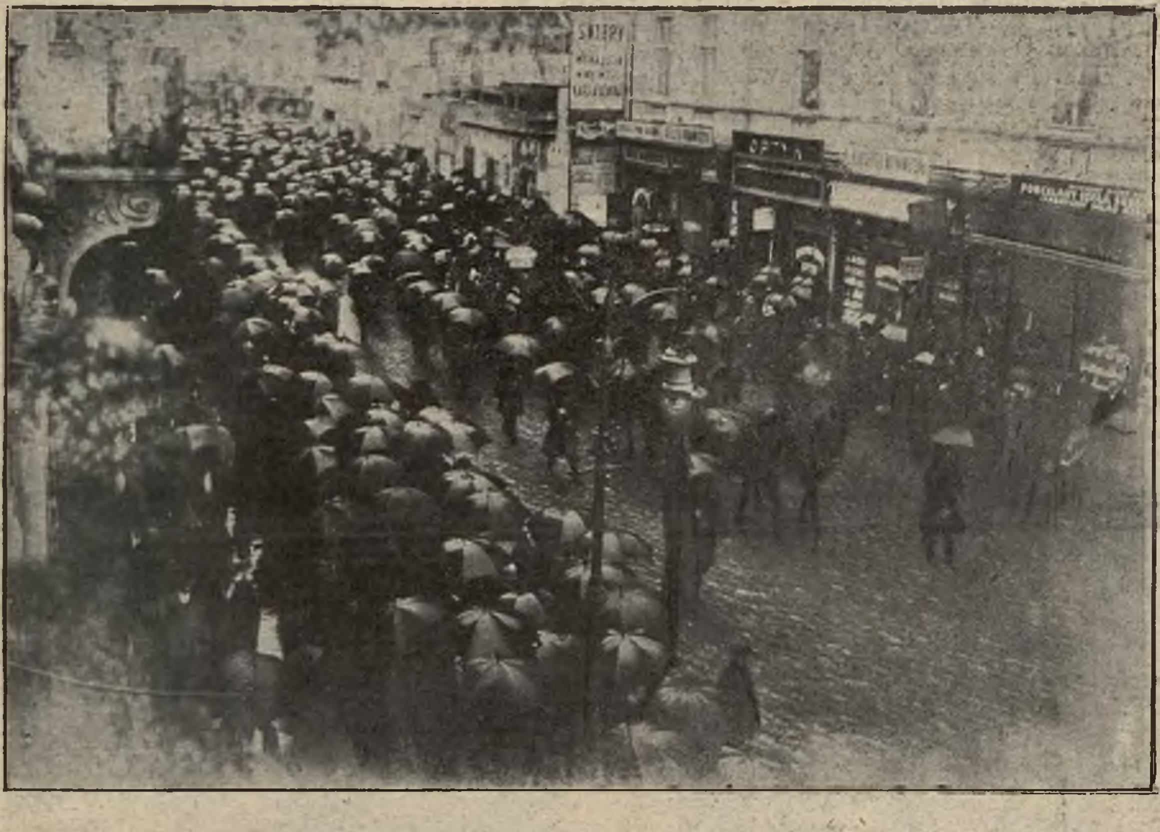
Co rok też odbywają się zjazdy delegatów tego Związku. Przed kilku dniami obradował taki zjazd we Lwowie. Połączony on został z drugą doniosłą uroczystością. „Gwiazda“ lwowska, która należy do rzędu najzamożniejszych wśród „Gwiazd“, postanowiła przyjść z pomocą swym członkom w ten sposób, że rozpoczęła budowę kilku domów mieszkalnych, w których członkowie mają mieć tanie mieszkania. Równocześnie ze zjadem Związku odbyło się więc uroczyste otwarcie i poświęcenie pierwszego takiego domu mieszkalnego członków lwowskiej „Gwiazdy“.

Poświęcenia przy tłumnym udziale zaproszonych gości dopełnił ks. biskup Bandurski.

Illustracye nasze przedstawiają szereg momentów z uroczystości oraz grupę uczestników zjazdu.



Pogrzeb ś. p. A. Małeckiego: Przemówienie ks. Lubomirskiego. (Fot. M. Waydowicz, Lwów).



Pogrzeb ś. p. A. Małeckiego: Kondukt pogrzebowy. (Fot. M. Waydowicz, Lwów).

Pożar na morzu.

(Do illustracyi tytułowej).

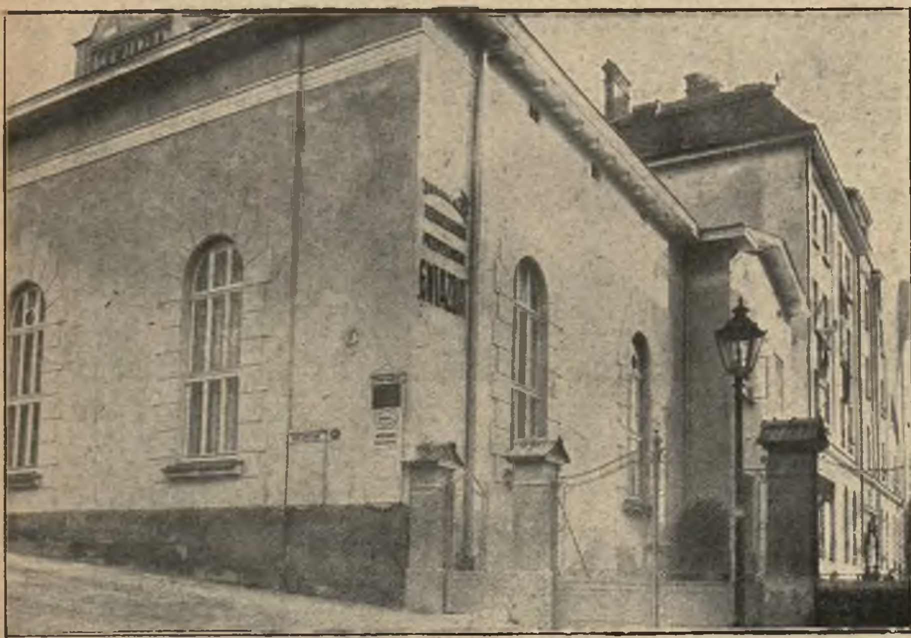
Ogień i woda to dwa groźne żywioły, z którymi człowiek musi ciągle staczać walkę. Pożary i wylewy — to stała rubryka klęsk we wszystkich krajach... Zdarza się jednak niekiedy, że te dwa tak sprzeczne żywioły, wykluczające się wzajemnie — wspólnie niszczą dobytek ludzki i zagrażają życiu człowieka... Takiem strasznem zjawiskiem jest pożar okrętu — szalejący żywioł ognia wśród bezmiaru fal morskich... Ofiarą podobnej katastrofy padł w tych dniach wielki parowiec „Volturno“, który spłonął na pełnem morzu w drodze z Roterdamu do Nowego Yorku.

Pożar wybuchł w dzień, w przedniej części okrętu. Mimo natychmiast podjętej akcyi ratunkowej, nie można było ognia ugasić, gdyż podsycała płomienie burza. Na wezwanie o ratunek telegrafem iskrowym przybył pierwszy statek „Karmania“, po nim zaś nadpłynęło jeszcze dziewięć innych parowców. Ratunek jednak był bardzo trudny, gdyż szalejąca burza topiła łodzie, które spuszczano na wodę. Dopiero kiedy burza trochę przycichła, zaczęto przewozić z „Volturno“ podróżnych; z 647 osób załogi i pasażerów zdołano uratować 523. Przeszło 120 osób znalazło śmierć w głębi oceanu.

Kiedy pożar objął środek okrętu „Volturno“, nastąpiło kilka silnych wybuchów, które rozerwały okręt na dwie części. Szczątki niedopalone pogrą-



Uroczystości „Gwiazd“ we Lwowie: Grupa delegatów Związku „Gwiazd“. (Fot. K. Skórski i L. Wieleżyński, Lwów).

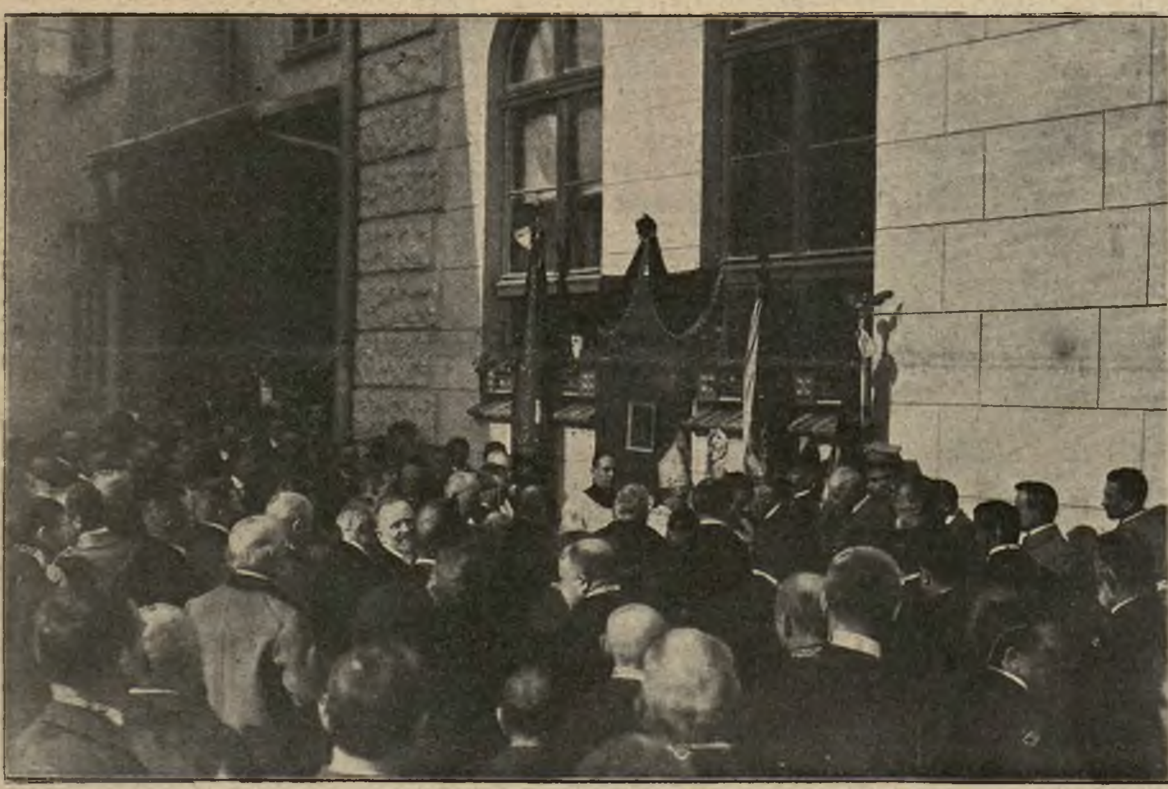


Uroczystości „Gwiazd" we Lwowie: Sala teatralna „Gwiazdy" z budynkiem mieszkalnym.



Katastrofa kolejowa pod Stanisławowem: Zdruzgotany wagon.

żyły się w falach. Po zatonięciu „Volturno" czterdzieści łodzi ratunkowych przeszukało miejsce katastrofy, nikogo jednak już więcej nie zdołano ocalić. Dzisiejsza illustracya tytułowa przedstawia moment tej strasznej katastrofy na morzu.



Uroczystości „Gwiazd" we Lwowie: Poświęcenie pierwszego domu mieszkalnego „Gwiazdy" lwowskiej.
(Fot. K. Skórski i L. Wieleżyński, Lwów).

Prawdziwe emancypantki.

Kobiety dążą dziś do równouprawnienia na wszystkich polach ludzkiej działalności. Gdy w Anglii sufrażystki prześcignęły już mężczyzn w robieniu najrozmaitszych awantur, u nas mogą się poszczycić jeszcze większymi sukcesami... Bić ministrów to nie sztuka — trudniej zabić wołu lub krowę. Tej roli podjęły się 3 siostry w Maryańskich Górach obok Morawskiej Ostrawy. Córki rzeźnika Augusta Nedwidka, chwyciły się tego samego zawodu i z niezwykłą pilnością i energią oddają się rzeźnickiemu fachowi. Urocze te panienki (19 letnia Marya, 17 letnia Aniela i 16 letnia Irena) pomagają dzielnie ojcu w jego krwawem rzemiośle. Na jednej illustracyi widzimy właśnie, jak swemi niewieściemi rączkami mordują skazane na zjedzenie bydlę. Jedna z sióstr trzyma łeb ofiary, a druga ogłusza ją uderzeniem siekiery... Na innych illustracyach widzimy piękne rzeźniczki przy dalszej procedurze krwawegp rzemiosła. Ten nowy zakres działalności kobiecej jest najwspanialszym laurem sławy emancypantek, a równocześnie groźnem „memento" dla rodzajn męskiego. Kobieta, która z takim wdziękiem zabija i kraje wołu, z tem większą łatwością ujarzmi swego męża! A to jest właśnie jedynym celem ruchu emancypacyjnego. Niech żyją prawdziwe emancypantki — pierwsze rzeźniczki w Maryańskich Górach.

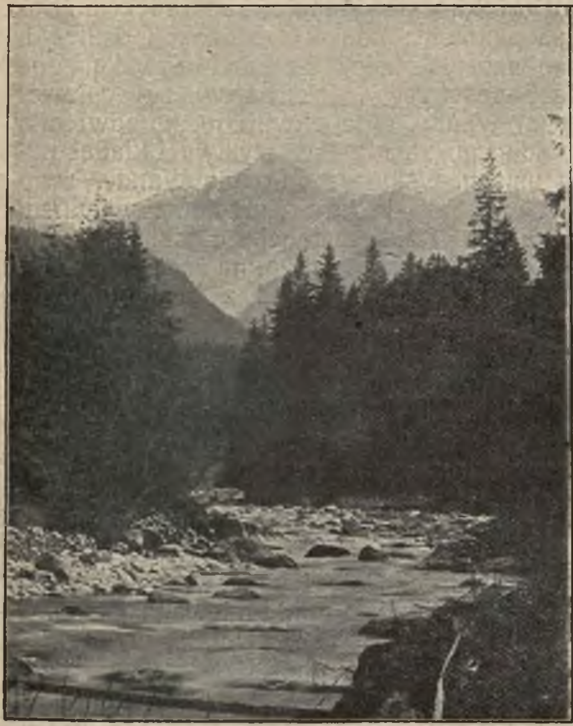


Prawdziwe emancypantki: Siostry Nedwidkówny, pracujące jako rzeźniczki w Maryańskich Górach.





Katastrofa kolejowa pod Stanisławowem: Rozbite wozy pociągu ciężarowego.





ARTUR GRUSZECKI

POD CZERWONYM WIRCHEM

33

Pani Wanda wbrew woli zarumieniła się, spuściła oczy i powiedziała przyjaźnie:
– Ach, Dorciu, kiedyż ty spoważniejesz?
– Chciała pani powiedzieć: zmądrzejesz, – zaśmiała się niepewnie, – ja wiem, że robię głupstwa... ale pan się nie gniewa? – wyciągnęła białą, kształtną rękę.
– Co za przypuszczenie, – uścisnął podaną rękę, – pani jest bardzo zacna i kochana, bo pani jest szczera bezwzględnie, wyjątek może jedyny wśród pań z zakładu.
– A mnie do jakich pan zalicza? – spytała z uśmiechem pani Wanda.
– Pani kłamstwem nie splami ust, ale szczerość pani posiada liczne szczerby i luki.
– Czyli innemi słowy, bywam fałszywa, – zaśmiała się z pozorną wesołością.
– I to nie, – zaprzeczył spokojnie Borowiecki, – tylko pani omija lub przemilcza z rozmysłu drażliwe sprawy. Nie jest to fałsz, lecz ostrożność żórawia.
– Ach, gdybym ja mogła być podobną do pani, – westchnęła szczerze Dorcia.
– Bądź pewna, Dorciu, – rzekła lekko rozdrażniona pani Wanda, – że gdy dożyjesz moich lat, spotka cię taki sam zarzut, bo zapewne nie zechcesz na rozcież otwierać twego serca na każde żądanie.
Borowiecki, widząc, że ona zwraca się z odpowiedzią do Dorci, użył tej samej drogi i rzekł z uśmiechem:
– Tak, tak, panno Dorciu, żądania stawia tylko ten, kto posiadł jakieś prawo, ale gdy ktoś, pozbawiony wszelkich praw, prosi o łaskę, to inna rzecz, i jestem pewny, że pani byłaby wspaniałomyślną. Prawda, panno Dorciu?
Patrzała na oboje trochę zmieszana i bąknęła:
– Ja?... ja nie wiem...
– Ależ Dorciu! – zawołała pani Wanda, – czyż nie miewasz takich tajemnic, których nie chcesz wyznać przed sobą, a cóż dopiero przed drugimi?
– Tylko, panno Dorciu, – pospieszył Borowiecki, – niech się pani tajemnicą nie zasłania, bo dojdzie pani do tej doskonałości, iż tajemnicą będzie, czy pani lewą nogą wstała, czy prawą? czy pani lepiej smakuje kawa, czy czekolada? Słowo: tajemnica, to bardzo wygodny płaszczyk na słotę i pogodę, to ładna chmura, pod którą chroni się często egoizm. Tak, panno Dorciu, i niech pani unika tajemniczości.
Pani Wanda zagryzła usteczka z gniewu, gdyż były to przedżeźniania jej odpowiedzi, gdy pytał, czy długo jeszcze zostanie tutaj? czy wyjedzie na wieś do siebie? czy nie uda się do jakiego zdrojowiska w kraju lub zagranicę? czy może do niej pisywać. Właśnie przemyśliwała nad ciętą odpowiedzią, gdy odezwała się Dorcia z dobrym uśmiechem:
– Moi państwo kochani, dlaczego mam być konduktorem waszych piorunów, czy nie byłoby lepiej, ażebyście to sobie sami powiedzieli bez mego pośrednictwa?
– Niech żyje szczerość! – zawołał Borowiecki, wznosząc kapelusz w górę, i dodał ze śmiechem wesołym: – hip! hip! hura!
– Naprawdę, Dorciu, jesteś nieoceniona, – zaśmiała się pani Wanda.
– Wiedziałam o tem, – powiedziała z powagą, co ich oboje pobudziło do większej wesołości, byli bowiem po sprzeczce i wypowiedzeniu swych pretensyi w takiem usposobieniu, że byle jaki powód wywoływał u nich wesołość.
Dojeżdżali do altany, do kresu jezdnej drogi, a dalej trzeba było iść pieszo.
– A to co za buda? – zawołała Dorcia, wskazując na drewnianą szopę, z odsłoniętą ścianą od drogi.
– Altana! – odrzekł Borowiecki.
– Altana? – zdziwiła się szczerze pani Wanda, wyobrażała sobie bowiem, że ujrzy ładny, stylowy budynek, urządzony wewnątrz jeśli już nie z komfortem, to wygodnie dla odpoczynku turystów.
– Jak tu brzydko i brudno, – patrzała Dorcia na zaśmieconą podłogę, na brudne ławy i ściany, zapisane nazwiskami i imionami przechodniów, pragnących tym sposobem zyskać sławę.
Niektórzy, dbali o przyszłość, wyrzynali litery głęboko scyzorykiem w drzewie, inni nader starannie cieniowali pismo; a jacyś malarze narysowali nagie ciała ze swoim podpisem.
– W czasie deszczu zawsze jest dach nad głową, – powiedział z wyrozumiałością Borowiecki, – i tu zjemy może drugie śniadanie.
– Ach, nie tu! – zawołała pani Wanda, – już lepiej na trawie, na głazie, byle nie w altanie, która cała dyszy próżnością i głupotą ludzką.
Borowiecki wziął plecak, laskę i ruszyli wygodną drogą w głąb Doliny, nad głośno szemrzącym strumieniem, wiecznie spieszącym. Miejscami, na głazach. w ściśniętem korycie, zżymała i pieniła się woda, to znów bełkotała wesoło lub cicho szemrała.
Z obu stron, na stromych zboczach rosły lasy, które pięły się w górę do nagich, skalistych turni. Przeważały ciemne, iglaste smreki, a tu i ówdzie wśród nich buki z białawą korą zaledwie zieleniły się jasnemi, rozwijającemi się liśćmi.
Przed nimi wznosiła się stroma ściana Giewontu, w którego rysach, szczelinach i żlebach jaśniał biały śnieg w promieniach czerwonego słońca, tem bielszy, że w otoczeniu ciemnych, szklących od sączącej się wody ścian granitowych.
Gdzieś poniżej turni odzywały się dzwonki pasącej się trzody, które zlewając się z szumem potoka, ze szmerem lasu, tworzyły dziwnie harmonijne dostrojenie się do tej przepięknej Doliny, zalanej słońcem.
Dorci zwykła, wygodna droga wydała się zbyt pospolitą i szła cichym lasem, szukając kwiatów, podpatrując małych, w gałęziach ukrytych śpiewaków leśnych.
Oni szli oboje obok siebie przez jakiś czas w milczeniu. Dziś pani Wanda była wyjątkowo piękna. Z twarzy ustąpiła wszelka troska, niepokój, czuła się wolną, panią swych myśli i pragnień, gdyż po wysłaniu listu miała wrażenie, że spadły z niej więzy, które ją dotąd krępowały. Oczy miała pogodne, wesołe, a około ust uśmiech dobroci i słodyczy.
– Jestem naprawdę wdzięczna panu, – przemówiła cichym, dźwięcznym głosem, – za tę miłą wycieczkę; jest mi tu dziwnie dobrze, a panu?
On, widząc ją tak piękną i świeżą, poczuł nagle zazdrość o jej męża. Sposępniał, ale rzekł tonem swobodnym:
– I znów minie jeden dzień szczęśliwy, chociaż troska będzie mu towarzyszyła jak cień.
Spojrzała na niego uważniej, pytając:
– Jaka znów troska?
– A chociażby o dzień jutrzejszy. Czy będzie taki czysty błękit, czy będzie słońce tak samo świeciło i czy pani będzie równie dobrze jak dziś.
– Ach, jutro?! – uśmiechnęła się, – niech jutro troszczy się o siebie.
– To wiem, że zdaniem pani nie należy pytać, kiedy róże zwiędną, ale bywa też inaczej. U mnie ta troska o jutro psuje piękne dzisiaj, męczy mnie, nuży, zatruwa każdą chwilę szczęśliwą.
– Jaki pan jednak niecierpliwy, – uśmiechnęła się, – a wyobraźnia zajmuje u pana pierwsze, decydujące miejsce.
– Mogę cierpliwie wiek czekać, jeśli wiem, że idę do celu i że cel ten osiągnę, – patrzał na nią zakochanemi, smutnemi oczyma, lecz gdy po każdym dniu przeżytym spokojnie. zawiśnie nademną smutne pytanie, a co będzie jutro? wówczas cierpliwość staje się tchórzostwem, które nie smie spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu, – a widząc ją tak spokojną, mówił podniecony: – są ludzie, którzy przez, dajmy na to, prostą bierność, zamykają oczy i uszy, chociaż wiedzą, że każdej chwili może uderzyć piorun, że z lada wiatrem może napłynąć czarna chmura, która zaćmi i zniszczczy tę wiotką i sztuczną atmosferę ciszy i słońca.
Pani Wanda doskonale zdawała sobie sprawę, dlaczego on tak mówi i o czem, a jego rozdrażnienie i alegoryczne wypowiadanie się, sprawiały jej przyjemność. Jak on się wysila, uśmiechała się do siebie, ażeby ją przekonać o tem, co wiedziała dawno i co już na zawsze usunęła, zażądawszy rozwodu.
– O ciekawych ludziach pan mi opowiada tak obrazowo, – uśmiechnęła się – a chociaż ich nie znam, zaczynają mnie interesować... Więc oni, przez „prostą bierność", jak pan sądzi, nie obawiają się ani burzy, ani piorunów?
Spojrzał na nią gniewnie, czy kpi, czy żartuje?... a może on nie dość wyraźnie zaznaczył, że tu o nią i o niego chodzi?
– Czy pani naprawdę nie rozumie, że mówiłem...
Wtem, gdzieś z turni rozległ się dźwięczny i silny śpiew juhasa:

„Chodzym koło ściany miłościom zwięzany,
Puść mie dziwce, puść mie, kwiotecku kochany".

a zakończył te słowa wściekłym, namiętnym wrzaskiem, który kilkakrotnie odbił się od turni, wirchów i ścian skalnych.
Borowiecki nasłuchując echa – szepnął namiętnie:
– Słyszy pani?
Ona leciutko się zarumieniła i szła dalej wpatrzona w drogę.
Po chwili z przeciwnej strony, od wirchów potrzaskanych skał odpowiedziała juhaska:

„Boże mój, Boże mój, cóż jek temu winna,
Że kocham Janicka, choć jek nie powinna".

i zakończyła takim samym, jak on, okrzykiem przenikliwym, namiętnym, który przeleciał po nad lasy, hale, turnie, wirchy i skonał gdzieś w głębi Doliny lekkiem westchnieniem.

— Słyszy pan? — szepnęła, musnąwszy oczyma twarz jego.

Przez sekundę aż przystanął, zdumiony i oszołomiony niespodziewanem szczęściem, wreszcie zdobył się na słowa:

— Pani... Wando, ja panią tak kocham, tak uwielbiam...

— Cicho, — upominała go zarumieniona. Dorcia nadchodzi... Cóż, Dorciu, nie spotkałaś wiewiórki? A może zdobyłaś kwiat...

— Szczęścia, — dokończyła Dorcia z uśmiechem, a zobaczywszy rozpromienioną twarz Borowieckiego, dodała: — tego kwiatu nie znalazłam, bo mój za górami, za lasami, ale pan Borowiecki ma minę, jak gdyby go już dojrzał.

— Istotnie jestem szczęśliwy, że mogę być z paniami w tej Dolinie.

— A mnie do szczęścia potrzeba coś do zjedzenia — zaśmiała się Dorcia, — gdzież pana zalety?

— Wybierzcie panie stół tylko, a zapasy się znajdą.

Wybrano dość płaski odłam skały, a Borowiecki ze zręcznością rutynowanego lokaja, nakrył wierzch skały serwetą i kolejno wydobywał chleb, masło, ser, zimne mięsiwa, talerzyki, noże i widelce.

— Ależ to uczta nielada, — powiedziała przyjemnie pani Wanda, — i pan to wszystko dźwigał.

W odpowiedzi Borowiecki rozstawiał szklaneczki wsuwane jedna w drugą i butelkę wina.

— Ten plecak bezdenny, — śmiała się Dorcia, — cóż pan ma więcej?

— Pudełko cukierków dla grzecznych dzieci.

— Już jestem grzeczna, — zrobiła dyg Dorcia, — i proszę o czekoladkę.

— O, nie! Wpierw coś posilniejszego, — położyła pani Wanda rękę na pudełku, — Dorciu, proszę słuchać!

— A, jeśli cukry na deser, to już uczta, — zaśmiała się Dorcia, — muszą tedy być i kwiaty. Idę poszukać, zaraz wrócę.

— Ledwie mogę uwierzyć memu szczęściu, — mówił rozkochany, — i pani naprawdę nie obraziła się, że wyznałem moją miłość i uwielbienie?

— Cóż w tem obraźliwego, że panu się podobałam? — uśmiechnęła się pewna siebie i swego wpływu.

— Uważam panią za tak świętą, czystą, nietykalną, że pragnąc wypowiedzieć od dawna moją miłość... wahałem się i obawiałem urazić panią.

— No, a teraz? — zaśmiała się swobodnie.

— I teraz jeszcze nie dowierzam swemu szczęściu, — i całując jej rękę prosił, — powtórz pani, powtórz...

— Ach, tę piosnkę, — patrzała na niego rozbawiona, — a dobrze; tam, o ile pamiętam, są słowa: „cóż ja temu winna, choć ja nie powinna".

— Opuściła pani słowa: „że kocham"...

— To niech już pan sobie dośpiewa, czy dobrze?

— Nic nie mąciłoby mego szczęścia, gdyby...

— Już gdyby? — zawołała, — czy nie zawcześnie?

— Na to gdyby, nigdy nie jest zawcześnie, ono bowiem stanowi o trwałości mego, a raczej naszego szczęścia.

— Jakie jednak posiada pan zaborcze instynkta! Więc panu jeszcze za mało tego, co już powiedziałam? Teraz gdyby... za chwilę: jeśli... ale, ale, czy pan zazdrosny?

— Ja?... Dotychczas nie byłem o nic i o nikogo, ale teraz jestem zazdrosny o każdy uśmiech, spojrzenie, a nawet myśl, i to uczucie sprawia mi niezmierną przykrość.

— To brzydko być zazdrosnym, — powiedziała surowo, — to brak zaufania, brak wiary i szacunku, musi się pan pozbyć tej przywary.

— Pozbędę się z chwilą, gdy będę miał pewność wzajemności i, daruje pani to nieszczególne słowo: wyłączności; ale gdy pomyślę, że ktoś inny ma prawo do uśmiechu, spojrzenia, uścisku...

— Dość już... Dorcia! — ostrzegła szybko i dodała cicho: — do czasu tajemnica.

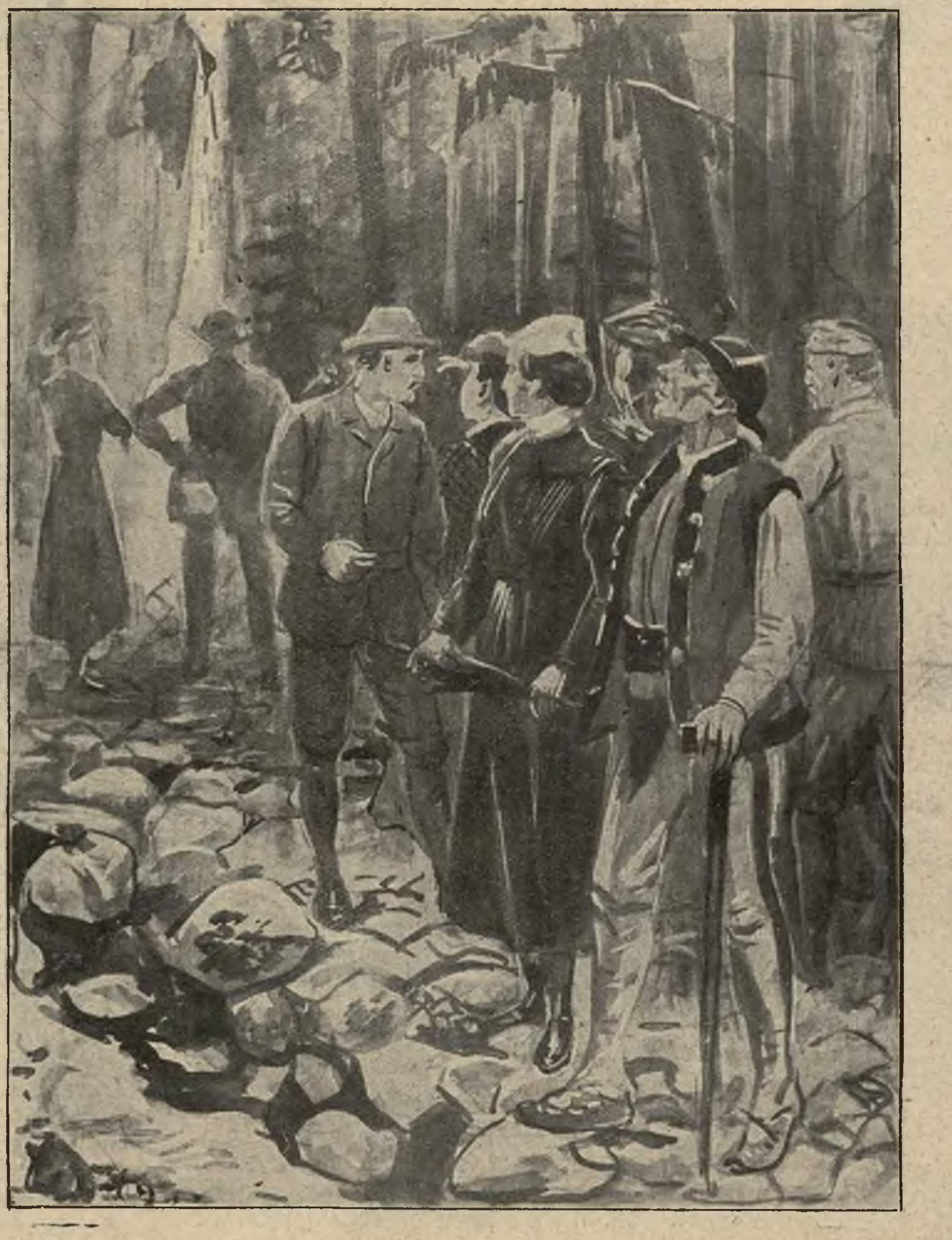
— Są już i kwiaty, — położyła pęk zielonych gałązek, — a teraz jeść!

Zaimprowizowany posiłek był bardzo ożywiony i wesoły, a gdy Borowiecki wyjął maszynkę do gotowania herbaty, Dorcia uparła się, że przyniesie wody ze źródła, które znalazła na leśnym stoku.

— Dzień ten zaliczam do najpiękniejszych w mem życiu, — mówił rozczulony, — pozyskałem miłość tej jedynej kobiety, którą ukochałem.

— Tylko niech mnie pan nie stroi w swej wyobraźni w różne wdzięki i cnoty... może się pan rozczarować.

— Co do pani nigdy. Pani jest tak szczera, dobra i rozumna, że całe życie nasze będzie jednem pasmem szczęścia i rozkoszy.



— Co za urocza i miła dolina.

— Niech pana nie unosi fantazya, — powiedziała cichym, smutnym głosem, gdyż przypomniały się jej podobne słowa jej męża przed ślubem, — życie kryje w sobie mnóstwo przeciwieństw, zgrzytów i smutków... a szczęście to taka krucha rzecz.

— O nie, pani Wando, ja uścielę drogę pani różami, nad nami zawsze będzie czysty błękit nieba, jak dziś, i promienne słońce, — mówił szczerze i z przejęciem.

— Zazdroszczę panu tej wiary, ja jej nie posiadam, — westchnęła.

— Uwierzy pani, gdy złączeni ze sobą rozpoczniemy życie. Nic trudnego, nic niemożliwego nie widzę przed sobą, gdy mam zdobyć szczęście dla pani. Powiedz tylko, że będziesz moją, że złączymy się na życie i śmierć, a niema takich przeciwności, których bym nie zmógł, — wziął jej rękę i okrywał gorącymi pocałunkami.

Oboje byli odwróceni od drogi, w stronę Dorci, która nie wracała od źródła, wtem za nimi, z zakrętu drogi od strony Zakopanego, nadeszły panie: Porecka z córką, Mniewska, radczyni i Łotuska; i panowie: Łotuski, Jedliński i Szarocki.

Przodem szła Madzia z panią Mniewską, i one pierwsze spostrzegły, jak Borowiecki całował rękę pani Wandy. W tej chwili Madzia odwróciła się do idącego za nią towarzystwa i kładąc palec na ustach, wskazała na panią Wandę. Twarze pań wyrażały drwiące oburzenie z wyjątkiem pani Mniewskiej rozweselonej. Łotuski miał minę zadowoloną i z dumą patrzał na żonę; Jedliński uśmiechał się złośliwie, rad z kompromitacyi pani Wandy; natomiast Szarockiemu błysnęła możliwość, że on z panią Łotuską mógłby się znaleźć w tem samem lub gorszem położeniu i współczując, chrząknął głośno. Panie spojrzały na niego niechętnie i zaczęły iść dalej.

Borowiecki zwolna się odwrócił na odgłos chrząknięcia i szepnąwszy pani Wandzie:

— Idą znajomi, — ukłonił się zbliżającym bez pośpiechu.

Teraz odwróciła się i pani Wanda, skinęła głową na powitanie, a pani Mniewska przyspieszyła kroku i zawołała, wyciągając rękę:

— Co za miła niespodzianka!... Nie przeszkadzamy, niech państwo posilą się po spacerze.

— Już skończyliśmy prawie.

— Co za urocza i miła Dolina, — witała się Madzia, — czy i dla pani?

— Bardzo piękna.

— I taka daleka, samotna, — uśmiechała się pani Porecka, — bez gwaru i natłoku ludzi, którego nie lubię, a pani?

— I ja również, — uśmiechnęła się pani Wanda, — ale tem milej spotkać życzliwych przyjaciół... Może panie pozwolą, — podawała otwarte pudełko cukierków.

Borowiecki witał się z panami, a pan Łotuski ściskając silnie jego rękę, rzekł z naciskiem:

— Nigdy nie spodziewałem się spotkać tu pana.

— Zawsze z niespodziankami liczyć się trzeba, — uśmiechnął się, — to chroni od rozczarowań i przykrości.

— Pan daruje, — rzekł pan Jedliński współczująco, — że przerwaliśmy...

— W samą porę, — zaśmiał się Borowiecki, — mam nietkniętą butelkę wina... może pan pozwoli kieliszek?... A, i pan Henryk! — ściskał rękę Szarockiego, — czy idziemy do Siklawicy?

Z za skały wyszła Dorcia, po drugiej stronie potoku, niosąc ostrożnie wodę, a pani radczyni zawołała z pewną ulgą:

— Ta tu jest panna Rawicka!... Ta co ona niesie?

— Wodę na herbatę, — uśmiechnęła się pani Wanda.

— Ta państwo myślicie tu dniować, czy co? — zgorszyła się radczyni, — ta i poco tak długo?

— Ażeby podziwiać piękną Dolinę Strążyską, — zaśmiała się niewinnie Madzia.

— Ta cały, boży dzień? Wystarczy raz zobaczyć, bo i co tu wielkiego? Ot, potok, las i skały. Samemu niema tu co robić.

— To też pani Jerzycka nie jest sama, — odezwała się uprzejmie pani Porecka.

— Ta ja to widzę, — zaśmiała się radczyni, — a kto te specyały przyniósł? — wskazała na zastawę.

— Pan Borowiecki, — spojrzała pani Wanda na zbliżającego się, który dosłyszawszy pytanie dodał: — wybieramy się na Czerwone Wirchy, droga dość daleka.

— Na wirchy? — zdziwiła się Madzia, — a przecież pani Jerzycka nie może spojrzeć z trzeciego piętra?

— Po drodze niema przepaści, — objaśnił Borowiecki.

— Ta i poco drapać się na Czerwone Wirchy? — skrzywiła się radczyni, — zmęczy się człowiek, spoci i zobaczy góry, które i z dołu widzi. Także satysfakcya? — zaśmiała się drwiąco.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Polska placówka na kresach.

Sokół w Zabłotowie obchodził w tych dniach podwójne, uroczyste święto, bo dziesięciolecie istnienia i poświęcenie własnego gmachu. Już od wczesnego ranka w niedzielę zebrały się na ulicach miasta niezliczone tłumy ludu, przeważnie okolicznych włościan, które z niecierpliwością wyczekiwały rozpoczęcia uroczystości.

O godz. 8 rano zajechał lwowski pociąg, wiozący muzykę kolejową ze Stanisławowa, tudzież brać sokolą i skautów kołomyjskich.

Pochód uformowany na dworcu z muzyką na czele ruszył do sokolni, a witany po drodze oklaskami tłumów, przez tryumfalną bramę z napisem „witajcie druhowie“ wkroczył na boisko sokole, rozciągające się szeroko i barwnie przed nową sokolnią. Po próbie ćwiczeń i zebraniu się wszystkich gniazd sokolich ruszył olbrzymi pochód do kościoła. Msza polowa, urządzona na dziedzińcu kościelnym a celebrowana przez ks. biskupa Bandurskiego, zgromadziła niezliczone zastępy ludu wiejskiego i miejskiego, wśród których świeciły szare mundury sokole, a gdzieniegdzie i kontusze okolicznej szlachty. Arcypasterz przemówił w gorących słowach do zgromadzonych tłumów, poczem wspaniały pochód ruszył z powrotem do sokolni, gdzie nastąpił akt poświęcenia, a potem przemówienie miejscowego prezesa, p. Boguckiego, który skreślił historyę powstania tej nowej placówki polskiej.

Po uroczystości poświęcenia odbył się obiad dla zaproszonych gości, podczas którego między innymi przemawiali: ks. biskup Bandurski, marszałek powiatowy bar. Stefan Moysa, delegat okręgu dr. Dobrzecki, wiceprezes Sokoła dr. Bogucki i inni.

Po obiedzie rozpoczęły się ćwiczenia sokole popisem skautów, którzy pomimo dokuczliwego zimna i drobno siekącego deszczu, z obnażonemi do pół ciałami, wykonywali raźno, sprawnie i karnie ćwiczenia wolne do taktu muzyki.

Wieczorem przy odgłosie trąbek pochodowych karne drużyny sokole i liczni goście, przybyli z różnych stron na uroczystość, udali się na dworzec, opuszczając Zabłotów, pełni podniosłych wrażeń.

Poświęcony tak uroczyście budynek Sokoła w Zabłotowie przedstawia się dość okazale. Jest to murowany dom parterowy z kamienną terasą na ogród i boisko, mieszczący w sobie salę gimnastyczną z galeryą i stałą sceną, szatnie, bibliotekę, kuchnię, mieszkanie dla służącego i t. p.



Szkoła pielęgniarek w Warszawie: Pierwsze uczenice i goście, obecni na uroczystości otwarcia szkoły, z założycielką dr. Grużewską w pośrodku. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).





Prawdziwe emancypantki: Pierwsze kobiety-rzeźniczki przy pracy w Ostrawie Morawskiej.



Polska placówka na kresach: Ks. biskup Bandurski przemawia do zgromadzonych tłumów przed nowym budynkiem Sokoła w Zabłotowie.

Wystawa prac stypendystów krakowskiej Izby handlowej.

Krakowska Izba handlowa i przemysłowa co rok rozdaje wśród młodzieży rzemieślniczej i rękodzielniczej szereg stypendyów, przeznaczonych na dopomożenie młodym pracownikom do ukończenia swego zawodowego wykształcenia za granicą. Stypendyści przy pomocy dostarczonych funduszów udają się na studya do wyższych zakładów naukowych zawodowych lub też do wielkich pracowni zagranicznych.

Aby dać obraz tego, co stypendyści Izby przy jej pomocy za granicą sobie przyswoili, urządziła Izba handlowa i przemysłowa po raz pierwszy w tym



Polska placówka na kresach: Grupa delegatów, biorących udział w uroczystości poświęcenia sokolni w Zabłotowie, z ks. biskupem Bandurskim w pośrodku.



Polska placówka na kresach: Pochód do kościoła podczas uroczystości poświęcenia budynku Sokoła w Zabłotowie.

roku publiczną wystawę ich prac. Wystawę obesłało dziewięciu stypendystów.

Dział przemysłu artystycznego reprezentuje czterech pracowników. P. Al. Grzybowski, który ukończył szkołę przemysłu artystycznego w Dreźnie, wystąpił z bogatym dorobkiem w dziedzinie malarstwa dekoracyjnego. Za prace swe uzyskał już p. Grzybowski kilka nagród konkursowych.

Paweł Turnus, rzeźbiarz, odbył praktykę w pracowni prof. Strunca w Pradze. Stanisław Bibulski, złotnik-cyzeler, pracował w monachijskiej „Kunstgewerbliche Werkstätte". Józef Feliks czerpał naukę w wiedeńskiem zakładzie chemigraficznym. Wszyscy czterej wystawili piękne okazy swych pomysłów.

W dziale rękodzielniczym wystąpiło pięciu pracowników. P. Tadeusz Lubański spędził dłuższy czas w fabrykach rękawiczniczych w Grenoble (Francya). P. Adamski pobierał naukę kroju damskiego w Paryżu w „Ecole de coupe". Józef Kumala pracował w akademii krawieckiej Maurera w Berlinie. J. Weinberger, jako krawiec męski, kształcił się w Londynie u firmy Minister & Co. Wreszcie p. S. Feldman, lakiernik, odbył dłuższą naukę w Paryżu.

Okazy przez stypendystów wystawione świadczą chlubnie o ich usiłowaniach.

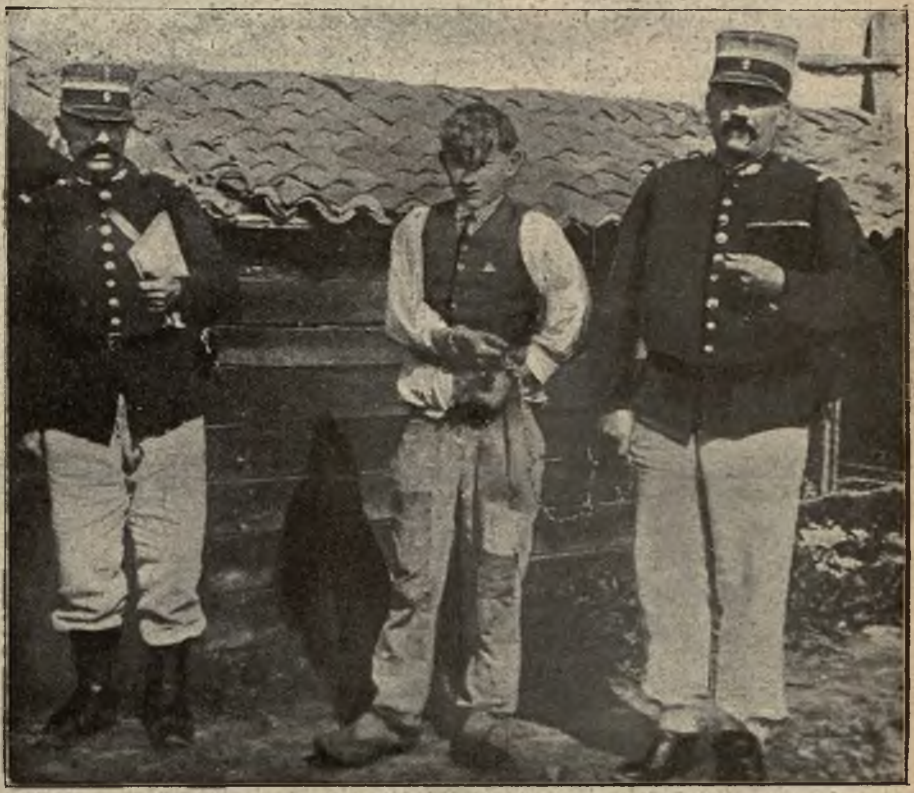
Illustracye nasze przedstawiają dwa widoki z sali wystawowej.



Wystawa prac stypendystów krakowskiej Izby handlowej: Fragment wystawy.



Zdobycz artystyczna Lwowa: Kamienica ś. p. Władysława Łozińskiego, w której pomieszczona zostanie miejska galerya obrazów. (Fot M. Münz, Lwów).



Nieletni morderca siedmiu osób: Piętnastoletni Marceli Redureau, który w okolicy Nantes wymordował całą rodzinę, złożoną z siedmiu osób.

Zdobycz artystyczna Lwowa.

Od szeregu lat, dzięki zwłaszcza energicznym zabiegom wiceprezydenta Lwowa posła dra Rutowskiego, powstaje piękne muzeum i miejska galerya obrazów. Szereg cennych obrazów i przedmiotów znalazło w niej już przytułek, a wielu ofiarodawców prywatnych pospieszyło z darami, nieraz bardzo cennymi, aby muzeum lwowskie wzbogacić. Pierwsze pomieszczenie znalazło ono w starej kamienicy w rynku, pamiątce po królu Sobieskim, kamienica ta okazała się jednak niebawem za szczupłą. To też miasto już dawno oglądało się za kupnem odpowiedniego budynku na rozszerzenie swego muzeum.

Szczęśliwy przypadek przyszedł miastu w pomoc. Spadkobiercy znanego zbieracza muzealnego ś. p. Władysława Łozińskiego ofiarowali miastu cenny zbiór pamiątek polskich zmarłego, zarazem proponując zakupno reszty zbiorów wraz z domem, w którym zbiory te obecnie są pomieszczone.

Miasto bardzo chętnie przyjęło cenną darowiznę oraz zaproponowane kupno. Wielka kamienica ś. p. Władysława Łozińskiego przy ul. Ossolińskich zostanie w najbliższym czasie przez gminę nabyta wraz z resztą zbiorów za cenę 820.000 koron. Pomieszczona w niej będzie miejska galerya obrazów.

Illustracya nasza przedstawia dom ś. p. Łozińskiego, nabyty przez miasto.

Nieletni morderca siedmiu osób.

Od czasu do czasu dochodzą do publicznej wiadomości zbrodnie tak straszne, że kłaść je można tylko na karb jakiegoś dziedzicznego zwyrodnienia, są zaś tem straszniejsze, jeśli zbrodniarzami są osobniki nieletnie, niemal dzieci.

Podobną wstrząsającą zbrodnię spełniono przed kilkunastu dniami w okolicy Nantes w osadzie Basbriace, gdzie ofiarą piętnastoletniego mordercy padło siedm osób. Przebieg wypadku był tak straszny, że wstrząsnął całą Francyą.

U farmera Mabita służył piętnastoletni Marceli Redureau. Wstąpił on do służby w lipcu i zachowywał się wzorowo. Przed kilkunastu dniami wieczorem pracowali obaj z Mabitem przy tłoczeniu wi-



Wystawa prac stypendystów krakowskiej Izby handlowej: Prace p. A. Grzybowskiego z zakresu przemysłu artystycznego.

nogron. Nagle na uczynioną mu przez chlebodawcę uwagę w trochę ostrzejszym tonie, chłopak porwał nóż, służący do obcinania winogron, rzucił się na Mabita i jednem cięciem przeciął mu gardło. Wziąwszy latarkę pobiegł do domu, cały ubroczony krwią z nożem w ręku. W pierwszej izbie zastał żonę farmera i służącą, które struchlały ze strachu, zobaczywszy mordercę. Nim ochłonęły z przerażenia, Marceli jednem cięciem noża powalił na ziemię służącą, podszedł do gospodyni, będącej w ciąży, rozpłatał jej gardło, głowę i brzuch, a następnie udał się do drugiego pokoju, gdzie zamordował babkę staruszkę i troje małych dzieci. Następnie pastwił się nad konającymi, kalecząc ciała w straszny sposób.

Cały zbroczony krwią, po dokonaniu strasznej zbrodni, poszedł spokojnie spać. Z całej rodziny ocalał tylko mały czteroletni chłopczyk, który rano obudził sąsiadów, spostrzegłszy trupy pomordowanych. Zbrodniarza ujęto.

Illustracya nasza przedstawia podobiznę tego zwyrodniałego mordercy po aresztowaniu.

Psy na usługach policyi.

Walka ze zbrodnią pod wszelkimi postaciami stanowi dzisiaj coraz trudniejsze zagadnienie. Zbrodniarze, w sprycie swym zastosowując wszelkie nowoczesne zdobycze wiedzy ludzkiej, są coraz bardziej niedościgli, tak, że nieraz zdolności zwykłego agenta policyjnego nie wystarczają, aby módz znaleźć niewidoczny często ślad ściganego bandyty. W ostatnich czasach zaczęto też do tropienia zbrodniarzy i złodziei używać psów. Zwierzęta te, obdarzone doskonałym węchem i sprytem, oraz łatwością oryentowania się, są specyalnie w tym celu układane, a dotychczasowe próby z nimi i osiągnięte wyniki potwierdziły w zupełności nadzieje w nich pokładane.



Psy na usługach policyi: Popis psów policyjnych we Lwowie. (Fot. M. Waydowicz, Lwów).

To też wszystkie większe miasta w Europie posiadają już odpowiednio tresowane psy policyjne, a społeczeństwo zawdzięcza im wykrycie niejednej zbrodni, która bez ich pomocy z pewnością uszłaby ręki sprawiedliwości.

Tresura psów policyjnych jest owocem długiej i uciążliwej pracy. Muszą one być nie tylko specyalnie chowane i żywione, ale z wielką cierpliwością przyuczane. Wyrobić w nich trzeba posłuszeństwo, zdolność gimnastyczną w wysokim stopniu, umiejętność samodzielnego oryentowania się w sytuacyi i t. d. To też cena takich psów jest bardzo wielka i dochodzi do kilku tysięcy koron.

Przed kilku dniami odbyły się we Lwowie popisy kilku psów policyjnych, tresowanych przez lwowską policyę. Popisy urządzono na wzgórzach za miastem, zwanych „Kaiserwaldem". Do współzawodnictwa wystąpiły dwie rasy: niemieckie owczarki „Fedor" i „Gurgl", własność ajenta polic. Bandury oraz dwa czarne Dobermanny „Lux" i „Eli", własność por. p. Czastki.

Psy popisywały się najpierw w posłuszeństwie, a więc chodzeniu przy nodze, zostawaniu w miejscu na rozkaz, zatrzymywaniu się i szczekaniu i t. p. Potem zaś popisywały się swemi zdolnościami śledczymi, a więc wyszukiwaniem i eskortowaniem złodziei, tropieniem śladów, noszeniem wiadomości i t. p.



Nowa instytucya humanitarna w Warszawie: Organizatorowie bezpłatnego zakładu ginekologicznego i członkowie Towarzystwa niesienia pomocy ubogim matkom bez różnicy wyznania z prezesem p. Wagnerem (1) i inicyatorem sekretarzem p. Millsztejnem (2) w pośrodku. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

N. S. Lincoln.

Trup w kasie.

Amerykański romans kryminalny.

1

ROZDZIAŁ I.

Oko w oko.

Cichy szmer, jakby skrobanie po szkle, przerwał ciszę. Po chwili skrobanie powtórzyło się znowu. W oknie ukazała się ręka, która powoli pracowała około szyby. Jeszcze kilka dziwnych szmerów w oknie, szyba naciskana umiejętnie wyleciała i z brzękiem upadła na dywan rozesłany na ziemi, który stłumił hałas. Przez otwór wsunęła się zręcznie ręka i specyalnym przyrządem przecięła biegnący pod oknem drut aparatu sygnałowego. Następnie ta sama ręka odsunęła rygiel u okna. Skrzydła okna rozwarły się, a na parapecie zarysowała się sylwetka mężczyzny na tle rozgwieżdżonego nieba. Cichutko spuścił się do środka i stanął na pierwszym stopniu schodów, prowadzących na piętro.

Przez kilka sekund stał ukryty za ciężką firanką i nasłuchiwał. Wkradnięcie się jego do domu nastąpiło tak cichutko, że nikt się nie obudził. Nabrał więc odwagi i wsłuchawszy się dobrze w panującą wokoło ciszę, powoli począł stępować po schodach na dół. Po chwili ostrożnego przemykania się znalazł się w obszernej hali dolnej, poczem zwrócił się na lewo i zatrzymał przed drzwiami pokoju.

W ogromnej ciszy nocy słyszał własny oddech. Powoli otworzył drzwi i wydobywszy z kieszeni elektryczną latarkę, błysnął nagle i oświecił snopem światła wnętrze pokoju. Jeden rzut oka przekonał go, że w środku prócz staromodnego ciężkiego urządzenia, nikogo nie ma. Jak tylko o tem się przekonał, pospieszył nocny gość, nie tracąc czasu, ku drzwiom szafy, które widniały pod ścianą. Skradał się cichutko i bardzo zręcznie. Drzwi te nie były zamknięte. a kiedy je otworzył, w blasku latarni ukazał się przód wielkiej kasy pieniężnej.

Tajemniczy gość ustawił na przysuniętym stołku latarkę i począł pracować. Wprzód i wtył obracały się kombinacye cyfr pod sprawnymi palcami włamywacza. Bystre jego ucho, przyzwyczajone do tego rodzaju prac, rozwiązało wnet trudne zadanie. Odetchnął z ulgą, obtarł sobie pot z czoła, którym przy wytężonej robocie się pokryło i poprawił potem szybko czarną maskę, jaką miał na twarzy.

— Prawdziwe szczęście, że to staromodna kasa — szepnął do siebie. — W każdym razie kosztowała mnie trzy kwadranse czasu i roboty, a czas jest w tej chwili bardzo drogi.

Pod dotknięciem jego ręki obróciły się bez szelestu drzwi kasy na naoliwionych zawiasach. Złodziej chwycił latarkę i skierował snop elektrycznego światła do środka. Przez moment latarnia paliła się jasnem światłem, nagle zgasła w bezsilnej ręce.

Na miłość Boską! Czyżby był w obłędzie? To, co ujrzał, musiało chyba być zmorą, wywołaną silnem wzburzeniem, fantazyą jego rozigranych nerwów. Ostatecznym wysiłkiem woli pokonał w sobie nagłą słabość, jaka zaczęła mu mroczyć zmysły. Powoli, cal po calu, podniósł lampę do góry i oświetlił to straszne coś, co wyjrzało ku niemu z za drzwi kasy.

Oko w oko spojrzeli ku sobie: śmierć i życie. Złodziej z trudem tylko oddychał, pokonany wzruszeniem. Maska zawadzała mu na twarzy. Po chwilce znowu światło zgasło. Znajdował się w strasznym stanie ogromnego przerażenia, które siłą tylko pokonał. Wola odmawiała mu posłuszeństwa, obudził się tylko instynkt, który zaczął za niego pracować. On nie był zdolny świadomie do niczego. Ręka jego sama zaczęła szukać w ciemnościach drzwi kasy. Dopiero w chwili, kiedy zamknęła się przed nim, odzyskał znowu świadomość siebie i swego położenia.

Cicho i tajemniczo, jak przyszedł, tak znikł w ciemnościach nocy.

ROZDZIAŁ II.

Tajemnica kasy.

— Na pomoc! Mordercy! Mordercy!

Straszny ten okrzyk rozległ się w całym domu, budząc wszędzie echo trwogi.

W jadalnym pokoju siedział przy śniadaniu generalny adwokat i jego córka. Właśnie sięgał po leżącą obok talerza gazetę, gdy dobiegł go straszny okrzyk. Zerwał się z miejsca, nie rozumiejąc w pierwszej chwili tragicznej grozy. Głos wołającego zbliżał się szybko. Po chwili drzwi popchnięte silnie ręką rozwarły się, a do jadalni wpadł jego prywatny sekretarz.

— Na Boga Clarku, co się stało? — zawołał Trevor, chwytając za ramię słaniającego się prawie młodego człowieka.

— Ojcze, ojcze, pozwól mu przyjść do siebie! Przecież widzisz, że jest ogromnie wzburzony — prosiła Beatrycza i położyła mu rękę na ramieniu.

Wilkins, spokojny zwykle służący, wyjątkowo został wytrącony z równowagi, pomagał też swemu panu, aby uspokoić Alfreda Clarka i usadowić go na krześle. Pół omdlałemy podał następnie szklankę mocnej wisky.

— To.. chodzi... o kasę... panie szefie... — wykrztusił po chwili Clark, łapiąc oddech.

— O kasę? - dopytywał Trevor zdziwiony.

— Tak. Ona... jest w środku... nieżywa!

— Ona?... Kto?

— Pańska żona, panie Trevor.

— Moja żona? Ależ to nie możliwe, Clarku. Ona je śniadanie w swoim pokoju.

— Przepraszam jaśnie pana — wtrącił w tej chwili Wilkins, Marya właśnie wróciła z góry z powrotem i przyniosła całą zastawę nienaruszoną. Powiada, że pukała dłuższą chwilę, nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi.

Trevor wymienił z córką przerażone spojrzenia. Trudno było w tej chwili rozstrzygnąć, które z nich bardziej zbladło. Bez słowa obrócił się w miejscu i pobiegł ku drzwiom. Krzyki Clarka zwabiły prawie całą służbę, która stała w sieni, cisnąc się przed jego biurem. Trevor zdawał się tego nie widzieć. Szybko, energicznym krokiem wszedł do pokoju kasowego i stanął przed otwartą kasą. Okrzyk strasznego przerażenia wyrwał mu się. Przez chwilę wszystko wokoło niego zatrzęsło się i zakołysało, w uszach szumiało mu, jakby kaskady wody spadały z gór.

— Ojcze?!

Nagłem szarpnięciem zebrał wszystkie siły.

— Nie wchodź tutaj — rozkazał energicznie córce, która przerażona stała pod drzwiami pokoju. — To nie widok dla ciebie. Wilkins, proszę natychmiast wezwać doktora Dawisa. Clark, zamknij pan drzwi i przypilnuj pan, aby nikt prócz doktora tutaj nie wszedł. Zatelefonuje pan potem do ministeryum, że dzisiaj do biura nie przyjdę.

Rozkazy te zostały natychmiast wykonane. Teraz powrócił Trevor do strasznej kasy. Wewnątrz siedziała owa cicha postać, która zdawała się stać na straży jego mienia. Nielitościwe jasne światło słonecznego poranka oświetlało piękną twarz. Przepiękne włosy tycyanowskie, jej największa ozdoba, były ślicznie upięte na zgrabnej główce. Wycięta suknia wieczorowa była świeża i trochę tylko w nieporządku. Postać cała klęczała na lewem kolanie, całym ciężarem ciała opierając się na lewej ręce, silnie przyciśniętej do boku żelaznej kasy. Nieszczęśliwa znajdowała się tuż za żelaznymi drzwiami, tak blizko, że dotykała prawie ich wewnętrznego obramienia. Usta nie były domknięte, niebieskie oczy patrzyły szeroko przed siebie, a źrenice były silnie powiększone.

Nie trzeba jednak było zupełnie badać pulsu, lub serca. Na pierwszy rzut oka Trevor poznał, że kobieta ta już umarła.

Śliczna młoda jego żona! Edmund Trevor jęknął głośno i ukrył twarz w dłoniach. Clark przyglądał mu się chwilę z boku z wielkiem współczuciem i w smutnem milczeniu. Przystąpił następnie spokojnie do okna i wyglądał przez nie, nie widząc jednak nic przed sobą.

Wspaniały ten pałac wznosił się na jednej najelegantszych ulic Waszyngtonu, na rogu alei Massachusett i placu Duponta. Kiedy Trevora zamianowano generalnym adwokatem, wynajął dom na dłuższy czas. Wybrał go dlatego między wielu innymi, że w stronę dwudziestej ulicy dom ciągnął się bardzo głęboko, przez co jadalnia, biblioteka i salon mogły być obok siebie.

Na prawo obok holu znajdował się mały pokoik gościnny, a za nim ogromny ośmiokątny pokój, mający szklane drzwi, prowadzące do ogrodu, który obrał sobie na swój gabinet, a właściwie pracownię. Specyalnie cieszył się żelazną kasą pieniężną, wmurowaną w ścianę, która też przy niejednej już sposobności okazała się bardzo użyteczną.

Delikatne pukanie w drzwi przerwało ciszę.

— Doktór Davis — zaanonsował Wilkins przyciszonym głosem.

— Przybywam natychmiast — rozpoczął lekarz, podchodząc szybko do pana Trevora. W tej chwili spojrzał w otwarte drzwi kasy i okrzyk przerażenia wydarł mu się na widok nieżywej postaci. Instynktownie cofnął się kilka kroków, w tej chwili jednak opanował się. Obowiązek wzywał go, więc przezwyciężył przerażenie i zaczął szybko badać panią Trevor. Robił to jednak drżącymi rękoma i tylko powierzchownie.

Kiedy po chwili powstał z klęczek i odwrócił się, spotkał utkwione w siebie spojrzenia obu mężczyzn; wstrząsnął przecząco głową.

— Życie uleciało już przed kilku godzinami — powiedział — już ciało zaczyna tężeć.

Trevor załkał z cicha. Rozum dawno mu to już powiedział, zaraz jak tylko ujrzał ją tam, w tej strasznej kasie. Ale mimo to zdawało mu się, że powinien mieć jeszcze jakąś nadzieję.

— Czy można ciało przenieść do jej pokoju sypialnego? — zapytał po chwili, kiedy na tyle się opanował, że mógł przemówić.

Lekarz przyzwolił skinieniem głowy, poczem z pomocą Clarka, Wilkinsa i szofera przeniesiono kostniejące ciało pięknej, młodej kobiety na górę do jej pokoju.

Po chwili powrócił pan Trevor do biura i przy pomocy Clarka sprawdził według wykazów zawartość kasy. Właśnie kończyli to zajęcie, kiedy w drzwiach biura stanęła Beatrycza.

Młoda panna Trevor była znaną pięknością w wytwornych towarzystwach Nowego Yorku, Paryża i Waszyngtonu. Wysoka i doskonale zbudowana, wyróżniała się wśród swych rówieśnic majestatyczną wprost postawą. Jeśli by się chciało być zupełnie ścisłym, to nie można jej było uważać za skończoną piękność, o ile szło o urodę. Rysy twarzy miała dosyć nieregularne. Mimo to jednak było dosyć mężczyzn a może nawet kobiet, którzy ją uwielbiali z ślepotą wprost niewolników.

Matka odumarła ją, kiedy liczyła zaledwie pięć lat. Przez długi czas żyła samotna przy boku swego ojca. Tak było aż do osiemnastego roku jej życia. Wtedy pan Trevor spotkał pewną piękność, która uczyniła na nim silne wrażenie. Zakochał się w tej obcej, oświadczył i ożenił. A teraz nagle kończyła ona swe życie w tak dziwny i zagadkowy sposób.

— Ojcze, ja muszę dokładnie wiedzieć, co się stało.

— Ależ moje drogie dziecko — głos jego zwykle surowy i zimny przybrał bardzo czułe brzmienienie — przypuszczałem, że ci już wszystko opowiedziano. Helena weszła widocznie do kasy, aby schować swoje kosztowności. W niewytłomaczony sposób drzwi zamknęły się za nią, a ona, pozostawiona wewnątrz bez powietrza, udusiła się. Jakież to straszne... przerażające — głos zadrżał mu z wewnętrznego wzruszenia - ale... Wilkins, co tam nowego?

— Detektyw z departamentu policyi, jaśnie panie.

— Detektyw? A ten tu poco? Czy pan i tam telefonował, panie Clark?

Sekretarz zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie? ano — wpuść go tutaj, Wilkins.

Po chwili wsunął się cicho zapowiedziany. Nie wyglądał zupełnie na detektywa. Był skromnie ubrany, w średnim wieku, trzymał się prosto jak żołnierz. Służył pięć lat w konnej policyi północno-zachodniej Kanady, a służba ta wycisnęła na nim swoje piętno.

— Dzień dobry, panie generalny adwokacie. — Ukłonił się równocześnie wszystkim, którzy byli zebrani w pokoju. — Przepraszam, że przeszkadzam. Mam jednak małą misyę, którą załatwię w kilku minutach.

— Proszę, siadaj pan, panie....

— Hardy — James Hardy, proszę pana. Sprawa z którą przychodzę, przedstawia się tak. Już prawie o świcie dzisiejszej nocy policyant, pełniący służbę na tej ulicy, O'Grady, zauważył człowieka, który wyszedł z dziedzińca pańskiego domu. O'Grady zaczął go natychmiast ścigać, dogonił i zaaresztował właśnie w chwili, kiedy tenże chciał odjechać pociągiem do Nowego Yorku. Sprowadził go następnie na inspekcyę policyjną i kazał go tu jako podejrzanego zatrzymać w areszcie. Ponieważ drab ten miał przy sobie wszystkie narzędzia złodziejskie, nawet maskę i rewolwer, przysłał mnie mój szef do pana z zapytaniem, czy pan nie został tej nocy okradziony.

— Nie panie — odpowiedział Trevor. — Właśnie przeglądałem zawartość mej kasy. Nic nie zostało ruszone. Z twoich rzeczy, Wilkins, pewnie także nic nie brakuje? — Dodał, zwracając się do pobladłego służącego.

— Nie, jaśnie panie, nic zupełnie.

Wilkins powiedział to jednak drżącym głosem i patrzył na urzędnika policyi oczyma, w których widocznie malował się przestrach.

— Może ów człowiek próbował się zakraść, ale porzucił swój zamiar, jak przekonał się, że wszystkie okna są dobrze zaryglowane. Ja jestem... ciągnął

dalej Trevor, urwał jednak, gdyż w tej chwili wszedł szybko dr. Davis.

— Dowiedziałem się, że przyszedł detektyw. Trevor wskazał ruchem ręki na Hardyego.

— Czy pan jest czynnym urzędnikiem? — zapytał lekarz.

Hardy odwinął połę swojego surduta i pokazał znaczek urzędowy.

— Czy pan powiedział mu cośkolwiek o śmierci pani Trevor, panie syndyku?

— Nie. Im mniej będzie się mówić o tym nieszczęśliwym wypadku...

— To nie był wypadek — głos lekarza zabrzmiał głębokiem współczuciem.

Trevor uniósł się z fotela, opadł jednak bezsilnie z powrotem.

— Davis — krzyknął prawie gwałtownie, pan wie przecież, że Helena wskutek jakiegoś nieszczęśliwego wypadku zamknęła się w kasie i z powodu braku powietrza udusiła.

Detektyw, zaintrygowany w najwyższym stopniu, spoglądał to na jednego, to na drugiego z mówiących.

— Przy bliższem badaniu trupa, tam na górze w sypialni — odpowiedział lekarz powoli — znalazłem pod lewą piersią małą ranę. Była ona zakryta koronkami sukni i bielizny. Narzędzie mordercze doszło do serca i krew wylała się na wewnątrz. Pani Trevor nie żyła już, kiedy ją zamknięto we wnętrzu kasy.

Po tych słowach zapanowało w gabinecie straszne milczenie. Przerwał je detektyw głośnym wykrzyknikiem:

— A więc morderstwo!

Bez słowa osunęła się w tej chwili Beatrycza omdlała do stóp swojego ojca.

ROZDZIAŁ III.

W domu Macallistersów.

Wspaniałe były przyjęcia w domu pani Van Zandt Macallisters. Wielu też pragnęło otrzymać na nie zaproszenia, nie wielu jednak było wybranych. A ponieważ na salonach tych spotykała się sama śmietanka amerykańska, starano się tem usilniej o wstęp do tego domu.

Od wielu lat, o których jednak gospodyni niechętnie mówiła, w pałacu jej przy ulicy F. gromadził się cały świat oficyalny, dyplomatyczny i arystokratyczny Waszyngtonu. W doborze gości gospodyni była bardzo surowa, sama baczną zwracała uwagę na różnice towarzyskie, to też przyjęcia jej miały specyalną nazwę. Mimo to cały Waszyngton zajmował się żywo panią Madame Macallister, jak się zwykle o niej wyrażano. Była ona bowiem aż do końców paznokci „grande dame“.

Kiedy wydawała swą córkę za księcia Middlesex, wydawała wspaniałe śniadanie, na które przybył prezydent, cały gabinet i korpus dyplomatyczny. Właśnie w chwili, kiedy marszałek dworu otwierał podwoje do jadalni, a prezydent kończył rozmowę z panią domu, rozległ się ogłuszający huk i cały stół biesiadny załamał się pod ciężarem sreber, kryształów i kosztownej porcelany, którą na nim poustawiano. Goście przestraszyli się, tylko Madame Macallister nie odwróciła nawet głowy, ale prowadziła dalej spokojnie rozmowę z prezydentem, tak jakby się nic nie stało.

Drzwi zamknięto, a całe towarzystwo poszło za przykładem gospodyni i przerwane na chwilę rozmowy nawiązały się znowu, zabrzmiały wesołe głosy i śmiechy. W nieprawdopodobnie krótkim czasie uprzątnięto wszystko i ustawiono nowy stół. Kiedy prezydent podawał ramię pani Macallister, spojrzał na nią zdumiony i szepnął:

— Choć się zawali pani królewstwo, pozostaniesz niewzruszona.

Towarzystwo waszyngtońskie nigdy nie zapomniało o tym wypadku.

Pani Macallister miała bardzo ostry języczek. Ale pod tą trochę sztywną, zewnętrzną powłoką biło serce gorące i wielkoduszne. Swojej dobroczynności nie prezentowała publicznie. Tylko okoliczni proboszczowie wiedzieli, ile rodzin w zimie korzystało z jej węgli, albo w lecie z jej lodu. Także niejedna zbłąkana arystokratka znajdowała u niej pomoc i błogosławiła jej nazwisko.

Poważna ta dama spojrzała niecierpliwie na zegarek i stwierdziła, że jest już dwadzieścia minut po piątej. Pochyliła się naprzód i przycisnęła guzik dzwonka elektrycznego, umieszczony pod kominkiem.

Dwie rzeczy istniały w życiu, których pani Macallister nienawidziła, mianowicie czekać na kogo i za wcześnie jeść obiad. Pierwsze podniecało jej nerwy, a drugie psuło jej trawienie.

— Czy panna Małgorzata już powróciła? — zapytała, kiedy Hurley wniósł zastawę do herbaty.

Zanim zapytany zdążył odpowiedzieć, w przedpokoju rozległy się ciche stąpania, a po chwili portyera w drzwiach rozchyliła się, a w drzwiach stanęła młoda dziewczyna.

Pani Macallister przyglądała się chwilę swej wnuczce z widocznem zadowoleniem. Peggy była bardzo podobna do swego ojca, a babka pokochała ją zaraz od pierwszego dnia, kiedy małe bobo, sierotę, wzięła na ręce. Matka Peggy umarła, licząc lat dziewiętnaście, a ojciec, który także był wątło zbudowany, podążył niedługo za nią. Od tego czasu Peggy zamieszkała u swej babki i obie żyły samotne w starożytnym domu Macallistersów, który jeszcze dziadek kupił, kiedy przed wielu laty przesiedlił się z Pensylwanii do Waszyngtonu, porzucając po raz trzeci swój urząd gubernatora.



Cichutko śpuścił się do środka i stanął na pierwszym stopniu schodów.

— Zapewne bardzo się spóźniłam — droga babuniu? — dopytywała się Peggy, ściskając gwałtownie panią Macalister. Nigdy nie miała ona dość respektu wobec swej poważnej babuni. Kochała ją jednak całą głębią swego gorącego młodego serca.

— Moje drogie dziecko, piąta godzina jest zawsze piątą godziną, a nie dwadzieścia minut później, odpowiedziała pani Mocallister. Poprawiła obu rękami swą śnieżno białą fryzurę, która przy uściskach Peggy trochę ucierpiała.

— Babuniu, ty jesteś równie okrutna jak Nana, która zawsze, gdy minie trzy minuty po piątej, odrazu uroczyście oświadcza, że „wnet już będzie szósta“. Bawiłam się doskonale przy śniadaniu i zasiedziałam się trochę, aby omówić różne ciekawe rzeczy z Matyldą. Chce ona koniecznie, abym jej była druhną na weselu.

— A czyś ty jeszcze nic nie słyszała, co się stało?

— Nie, a cóż takiego?

— Pani Trevor została zamordowana.

— Pani Trevor... zamordowana? — Peggy o mało nie upuściła filiżanki z herbatą.

— Tak bardzo bym pragnęła, abyś się wreszcie oduczyła powtarzać za mną słowa, Peggy. Przecież to bardzo nieprzyjemnie, żyć ciągle z takiem echem.

— O babuniu — proszę — opowiedz mi prędko wszystko.

— No, dobrze. A więc „Evennig Star“ donosi... A tam co nowego, Hurley?

— Pan Tillinghast, jaśnie pani, zameldował uroczyście służący.

— Owszem, niech wejdzie. Usłyszymy teraz całą rzecz dokładnie, Peggy!... Dobry wieczór, Diku!

Młody człowiek pochylił się z wyszukaną grzecznością nad wyciągniętą doń ręką, jeszcze piękną i usianą niebieskimi żyłkami. Świeży, zdrowy jego wygląd wskazywał, że prowadzi solidne życie i uprawia wiele sportów. Był on specyalnym ulubieńcem starej damy.

— Panie zapewne rozmawiacie o tym najnowszym wypadku. Cały świat o tem tylko mówi — zaczął rozmowę, przywitawszy się uprzednio z Peggy.

— Właśnie to czytałam. — Pani Macallister wskazała na gazetę, na której pierwszej stronie biły w oczy napisy, wydrukowane olbrzymimi literami:

Straszne morderstwo!
Pani Trevor zamordowana przez włamywaczy.
Sprawca został złapany.

— Policya szybko bardzo pracowała i zasługuje na pełne uznanie! — oświadczył Dik.

— No... — przemówiła z namysłem pani Macallister — włamywacza złapano, trzeba jednak dopiero udowodnić, że to on właśnie jest mordercą.

— Ależ to prawda! Zdaje się jednak, że sprawa ta nie ulega już wątpliwości. Nic nie zostało skradzione i dlatego trzeba przypuszczać, że pani Trevor została zbudzona hałasem, sprawianym przez włamywacza, poszła zobaczyć, kto chodzi po pokojach i wtedy została zamordowana. Złodziej został przez nią zaskoczony w chwili, gdy już wyłamał drzwi kasy. Zabił ją więc i zamknął we wnętrzu kasy. Potem prawdopodobnie stracił odwagę i uciekł, nie ukradłszy tego, po co właściwie przyszedł.

— Mój kochany Diku! Twoje przypuszczenia byłyby może prawdziwe, gdyby w grę wchodziła jakaś inna kobieta. Ale pani Trevor! Ją nie obchodziłoby nawet, gdyby w biurze jej męża nastąpiło oberwanie chmury. Ona przecież była typowym ludzkim pasożytem. A zresztą... — stara dama urwała, ponieważ nie mogła znaleźć odpowiednich wyrazów na określenie swych uczuć.

— Ależ, czy pani nie jest trochę za surowa? Nie spotkałem jeszcze piękniejszej kobiety, a poza tem była bardzo lubiana...

— Przez mężczyzn — przerwała mu sucho pani Macallister.

Dik roześmiał się.

— W każdym razie policya stwierdziła, że złodziej wszedł przez dach oraz okno na schodach — opowiadał. — Szyba była wygnieciona, a okno odryglowane. Potem znowu zostało przez złodzieja przymknięte. Obawiam stę, że ten ptaszek, o ile jest niewinny, nie łatwo udowodni, że nie on zamordował panią Trevor.

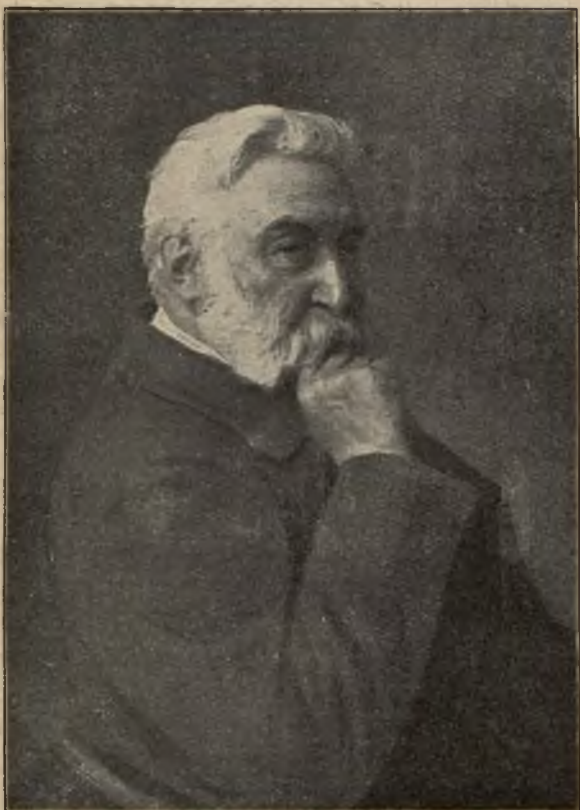
— Ależ to straszne, straszne! — jęknęła Peggy, która tymczasem przeczytała dokładnie relacyę gazety. — Muszę tez zaraz pobiedz tam i zostawić kilka słów Beatryczy.

Chciała zerwać się z krzesła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dar Sobańskich.

Klęska elementarna, która nawiedziła w tym roku Galicyę, znajduje żywy oddźwięk w innych dzielnicach Polski. Ludności Galicyi, której grozi nędza i głód, spieszą z pomocą inne dzielnice. Prym trzyma pod tym względem ziemiaństwo. Po Poznańskiem, które ofiarowało pomoc w naturze, odezwało się Królestwo. Pisma tamtejsze ogłosiły odezwy, wzywające do ofiarności na rzecz rodaków z Galicyi. Jednym z najpierwszych, który wystąpił z darem wprost wspaniałym, był Feliks hr. Sobański. Z okoliczności ślubu swego wnuka, również hr. Feliksa z hrabianką Zofią Kwilecką, który się odbędzie dnia 21 b. m., zobowiązał się on w tym samym dniu na ręce Centralnego Tow. Rolniczego w Warszawie złożyć 30.000 rubli (75.000 kor.) na zakupno ziemniaków dla dotkniętych powodzią rolników galicyjskich. Kwota ta zastąpi dar ślubny dla nowożeńców. Należy tylko życzyć, aby ten piękny czyn szlachetnego ofiarodawcy i pojmującego swoje obowiązki obywatela znalazł jak najwięcej naśladowców.



Dar Sobańskich: Feliks hr. Sobański, który ofiarował 30.000 rubli dla głodnych w Galicyi.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Dar Sobańskich: Feliks hr. Sobański (junior).
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Dar Sobańskich: Hrabianka Zofia Kwilecka.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Zamknięcie sezonu wioślarskiego: Łodzie krakowskiego oddziału wioślarskiego „Sokoła" wyruszają na ostatnią wycieczkę.

Kronika tygodniowa.

„Nie miała baba kłopotu...“ to przysłowie mogę zupełnie dobrze zastosować do siebie, tyle ambarasu narobiłem sobie poprzednią kroniką, zwłaszcza zaś ustępem, odnoszącym się do udziału niektórych niewiast w pogrzebach.

Zaznaczyłem tam wyraźnie, że nie mam na myśli ogółu niewieściego, ale tylko owe jednostki, na nieszczęście bardzo liczne, które, wiedzione jedynie ciekawością, nie żałują ani czasu, ani zdrowia, a pędzą na cmentarz, by potem mieć bodaj na jeden wieczór strawę dla swego języka. Pracuje on wtedy z takim rozmachem, że nie ustępuje wcale śrubie powietrznej najbardziej udoskonalonego aeroplanu, robiącej, jak wiadomo, tysiące obrotów na minutę.

Otóż, w odpowiedzi na mój artykuł, otrzymałem kilka listów, o ile mi się zdaje z charakteru pisma i błędów ortograficznych, pochodzących z ręki obrażonych przedstawicielek płci nadobnej, lub bodaj chcących się do niej liczyć.

Dwa z nich były nieopłacone, jeden zawierał czystą kartkę papieru (włożoną zapewne przez pospiech).

Treść najciekawszych:

„Obrzydliwy samcze! W podobnie podły sposób może się o kobietach wyrażać tylko wyrzutek społeczeństwa. Doprawdy, nie jesteś godzien, że jedna z ich grona wydała cię na świat. Ostatnia kronika jest stekiem kalumnii, na które nawet nie silę się odpowiadać, boś tego nie wart. Wiedz, że na ostatniem zgromadzeniu niezawisłych kobiet roztrząsałyśmy tę sprawę i powzięły uchwałę, że za swój bezecny postępek musisz ponieść zasłużoną karę. W tych dniach otrzymasz wyrok śmierci. Umrzesz, jeśli nie prędzej, to później, a będziesz to miał do zawdzięczenia tylko samemu sobie i tej nienawiści, jaką ziejesz do rodzaju żeńskiego.

A pomyśl tylko, czy łaziłbyś teraz po świecie, gdyby właśnie nie ten rodzaj żeński?

I wy chcecie wmówić w świat, że wiecie, co to jest wdzięczność?

Hańba ci, trzykroć hańba!“

Drugi był już mniej wojowniczy:

„Pańskie elukubracye, które dowodzą, że jesteś wrogiem kobiet, każą wnosić, że nie jesteś wcale żonatym, jak utrzymujesz, wątpię bowiem, by znalazła się niewiasta, któraby chciała mieszkać pod jednym dachem z takim potworem. Zazdrościsz nam tej drobnej przyjemności, a sam bawisz się chyba dobrze, jak to wnoszę z częstych wzmianek o handlu „pod Obrazem“ i „pod Palmą“.

Boże, jakże żałuję, że nie jestem twoją żoną (nawiasem dodam, że jestem jeszcze do wzięcia)... Już ja potrafiłabym wpłynąć na zmianę twych przekonań. Mój pierwszy małżonek, świeć Panie nad jego duszą, był też początkowo wrogiem kobiet, z czasem jednak poprawił się, za co go z pewnością nie minie nagroda.

Jeślibyś pan reflektował na zrobienie ze mną znajomości, dołączam poniżej adres, zastrzegając się jednak, że popołudniu trudno mnie zastać w domu, gdyż zawsze wypadnie jakiś pogrzeb“.

Trzeci zaś brzmiał, jak następuje:

„Głos twój jest głosem wołającego na pustyni. Gadaj sobie, co chcesz, ja i tak nie opuszczę ani jednego pogrzebu, choćbym miała pognać nawet na Podgórze! Jako kronikarz zrobiłbyś lepiej, gdybyś poruszył sprawę urządzenia tramwaju na cmentarz, na którego brak narzekają wszyscy moi znajomi nieboszczycy. Zrób to, zmażesz swą winę i zyskasz sobie naszą wdzięczność. W nagrodę za tę przysługę gotowa byłabym wobec ciebie do każdego poświęcenia. W danym razie mogłabym służyć bliższym adresem“.

Treść innych jest mniej więcej jednaka.

W odpowiedzi muszę mojej interpelantce numer pierwszy oświadczyć, że pogróżek jej się nie boję. Żałuję bardzo, że nie podała dokładnego adresu, wniósłbym bowiem przeciw niej skargę sądową o niebezpieczne grożenie, a nie krępowałbym się wcale względami, należnymi płci słabszej.

Nie gniewam się jednak na nią, owszem, chwalę ją za to, iż mężnie staje w obronie swych towarzyszek niedoli.

Natomiast dwie następne nie myślały chyba nawet, na jakie mnie narażają niebezpieczeństwo! Gdyby oba te listy wpadły w rękę mojej czcigodnej magnifiki, miałbym się dopiero z pyszna! Nie tak prędko potrafiłbym ją przekonać, że w danym wypadku jestem niewinnym, jak nowonarodzone dziecko.

To byłaby dla mnie rzeczywiście kara i to kara straszna, że poważyłem się zaczepić wojownicze amazonki. Dzięki Bogu listy nadeszły do Redakcyi, nie do domu, zniszczyłem je natychmiast, szczątki zaś wyniosłem własnoręcznie daleko za miasto i tam własnoręcznie wrzuciłem je do Rudawy.

Com się jednak najadł strachu, zrozumie tylko ten, kto, jak ja, ma zazdrosną, a do tego złośliwą, tak zwaną „lepszą połowę“.

Interpelantce numer drugi odpowiadam wobec tego, iż, niestety, jestem już zajęty, numer trzeci niech się nie gniewa, ale muszę odrzucić jej propozycyę, już choćby tylko dlatego, iż przeczuwam, że jest nieco podeszłą w leciech.

Pozatem jedna z pań zauważyła bardzo słusznie, że teraz cała przyroda spiknęła się przeciw biednym niewiastom, a jako dowód przytacza, że w bieżącym roku nic jakoś nie słychać o tak zwanem, popularnem zresztą „babiem lecie“.

Dla uspokojenia jej udałem się do krakowskiego obserwatoryum astronomicznego, a tutaj powiedziano mi, że tego roku trzeba będzie obejść się bez niego, co ostatecznie nie jest niczem dziwnem. Nie było „chłopskiego“ lata i baby mogą się obejść bez niego.

Najcięższe gromy ściągnąłem na swą głowę za użycie w kronice wyrazu „babsztyl“. Treści tego listu nie mogę powtórzyć, by nie narazić się na konfiskatę ze strony c. k. Prokuratoryi Państwa i konflikt z Ligą Obyczajności publicznej.

Ta niewiasta, choć jej osobiście nie znam, podoba mi się, choć przyznam się szczerze, nie życzyłbym takiej żony nawet swojemu wrogowi.

Przypomniała mi się sympatyczna ś. p. Baśka ze Zwierzyńca i jej słownik ludowy.

Drugą część kroniki poświęcam pożegnaniu z ekscellencyą ministrem skarbu, Zaleskim, który, po długich a dolegliwych cierpieniach finansowych, przechodzi na razie na urlop, ale z niego najprawdopodobniej już nie wróci. Mały plan finansowy, o którym powiadano, że ma przynieść skarbowi państwa wiele pieniędzy, odegrał u niego tę samą rolę, co u zwykłego śmiertelnika wyrostek robaczkowaty i ślepa kiszka. Specyaliści od polityczno-finansowej chirurgii orzekli, że operacya na razie jest niemożebną do przeprowadzenia, ostatecznie mogłaby się udać, ale pacyent tak, czy owak, przeniesie się w dobrze zasłużony stan spoczynku.

Na razie zastępuje go szef sekcyjny, dr. Engel, później ogłosi się zapewne licytacyę na fotel, frak i piróg ministeryalny.

Stanowisko ministra skarbu jest wcale nie do pozazdroszczenia. W samej Radzie koronnej musi walczyć ze wszystkimi kolegami, którzy wołają ciągle o pieniądze, a już wprost nienasyconym jest pod tym względem pan minister wojny i pan od obrony krajowej.

Aby ich zadowolić, trzeba się oglądać za nowemi źródłami dochodu, to jest nowymi podatkami, a to znów nie podoba się ludności, której kieszeń na tem cierpi.

Jednem słowem, jest to bardzo gruby dostojnik, który siedzi aż na dwu stołkach, ale oba są dziurawe. Jeśli nie umie utrzymać równowagi i zręcznie lawirować, wpadnie w jedną dziurę lub drugą, to jest, albo zrazi sobie kolegów, którzy powiedzą, że jest do niczego, albo też zyska *votum* nieufności ze strony parlamentu, zastępującego w tym wypadku ogół c. k. podatników.

Jak dotąd, najdzielniejszymi ministrami skarbu, zwłaszcza w ostatnich trzydziestu latach, byli Polacy. Dzięki zabiegom ś. p. Dunajewskiego budżet państwowy doszedł do równowagi, powiedzmy jednak kosztem kieszeni kontrybuentów, głównie zaś Galicyi. Każdy z naszych rodaków umiał przysporzyć państwu dochodów, o kraju swym myślał zaś tylko o tyle, o ile stamtąd dało się coś jeszcze wycisnąć. W zamian nie dostaliśmy nic, albo bardzo mało.

Gdy posłowie z Koła Polskiego zwracali się do swego kolegi z przedstawieniami, iż należałoby pamiętać i o Galicyi, odpowiadał z zasady.

— Moi panowie! Dajcie mi spokój! Dla Galicyi dać nic nie mogę, gdyż Niemcy zakrakaliby mnie, że jestem stronniczy... Najpierw inne kraje koronne, jeśli zaś co zostanie, to o was nie zapomnę!

Z zasady jednak nie zostawało nic, Koło Polskie tłumaczyło pana ministra, że przecież chęci miał jak najlepsze.

Ponieważ ekscellencya Zaleski wychowany był w tej samej szkole, dlatego żegnam go imieniem galicyjskich podatników bez żalu, proszę tylko, by na odchodnem szepnął swemu zastępcy:

— Kolego! Ja dla Galicyi nic zrobić nie mogłem, proszę cię, pamiętaj ty o niej, bo tam pozdychają z głodu. A kto wówczas będzie płacił podatki?...

Ponadto mam i osobistą urazę do pana ministra.

Jestem namiętnym palaczem (naturalnie za pozwoleniem mojej władzy domowej...) i konsumuję dziennie prawie po dziesięć albo i więcej cygar. Ze względu na ciężkie czasy zjechałem z trabukosów na britanika, potem na operasy, zatrzymałem się zaś na poczciwych kubach, zwanych ze względu na miłą woń z hiszpańskiego „kapustos“.

Dotąd nie pachły one wprawdzie, ale przynajmniej można je było palić, odkąd zaś rozpoczęto maszynową ich fabrykacyę, zeszły, powiedzmy grzecznie, na psy, o czem już zresztą przed kilku tygodniami wspominałem.

Ponieważ od każdego kupca wymagamy, aby za drogie pieniądze dawał dobry towar, zupełnie to samo powiedzieć się musi o c. k. rządzie, który w tym wypadku jest niczem innem, tylko kupcem, sprzedającym tytoń, tabakę, papierosy i cygara. To jednak bieda, że nie ma on konkurencyi, więc śmieje się z wszelkich gadań w kułak, a zażalenia składa do aktów, by je po latach sprzedać na masło.

Ekscellencyo! Ponieważ stało się to za czasu Twego urzędowania i za Twą zapewne wiedzą, powiedz także następcy:

— Kochany Englu! Niech oni robią lepsze cygara. Każemy sobie za nie dobrze płacić, dajmy im zato dobry towar!

Ale i na tem jeszcze nie koniec. Pan minister Zaleski był tym właśnie mężem, który potrafił obiecać zniesienie loteryi liczbowej, w miejsce jej zaś zaprowadził klasową. Jak się zdaje, zyska ona sobie u nas prawo obywatelstwa, dziś już bowiem losy w Krakowie są rozkupione.

Ba, ale loterya liczbowa tak się już wżyła w nasze stosunki, tak przyzwyczailiśmy się kombinować, stawiać i nie wygrywać, iż na samą myśl, że już wkrótce może zniknąć ona z horyzontu, straszna boleść szarpie nasze wnętrza.

Zostaw nam, Ekscellencyo, tę niewinną rozrywkę, zwłaszcza, że dowiedzieliśmy się z ostatniego sprawozdania, iż przynosi ona c. k. skarbowi państwowemu całkiem na czysto dziewiętnaście milionów koron. Takiej dziury w budżecie byle czem się nie zatka, nie wiem, czy tyle przyniesie loterya klasowa, dostępna tylko dla bogatszych, nie każdego bowiem stać na to, by odrazu „wybulić“ co najmniej pięć koron.

Jaką to frajdę sprawiało człowiekowi, gdy co dni czternaście postawił n. p. na Linz, albo na Berno bodaj dwadzieścia halerzy i czekał, czy pani Fortuna kiwnie mu ogonem... Lwów zwykle nas zawodził, więc mniejszem cieszył się zaufaniem.

I tę to dobroczynną instytucyę zniosło jedno pociągnięcie pióra pana ministra. O to właśnie nań się gniewam, ale mam nadzieję, że dzięki naszym administracyjnym praktykom długo jeszcze loterya liczbowa będzie istnieć obok klasowej, więcej burżujskiej. Ludowy parlament powinien coś zrobić dla ludu i poprzeć moje starania, a zyska sobie w ten sposób wdzięczność ogółu, większą nawet, niż za przeprowadzenie pragmatyki służbowej dla c. k. urzędników.

Kto będzie kiedyś następcą ekscellencyi Zaleskiego, tego dziś przewidzieć nie można, kandydata do tego niewdzięcznego portfelu mamy nawet i w Krakowie.

Na szerszą politykę nie zostało mi już miejsca, mogę więc tylko wspomnieć mimochodem, że na sędziego rozjemczego w niektórych sprawach bałkańskich wybrano króla hiszpańskiego, który z zadania wywiąże się zapewne ku ogólnemu zadowoleniu. W tym celu wybiera się on podobno do Bukaresztu, po drodze więc może zawadzi i o Kraków, gdzie go przyjmiemy bardzo gościnnie.

O tej naszej tradycyjnej gościnności złe wyobrażenie mają tylko Niemcy. Wiec przedstawicieli miast niemieckich, który obradował we Wrocławiu, miał zamiar zwiedzić i Kraków. Któryś z pruskich ministrów odradził jednak uczestnikom, zapewniając, że mogliby się tutaj spotkać ze zbyt „gorącem“ przyjęciem.

Mogłoby się to było stać tylko w tym wypadku, gdyby według swego zwyczaju, przybywszy do nas, chcieli nam pokazywać rogi, a oni to lubią...

Wystawa antyalkoholowa w Krakowie.

Staraniem Tow. „Wyzwolenie“, które postawiło sobie za cel walkę z jednym z największych wrogów ludzkości, alkoholem, urządzona została ruchoma wystawa antyalkoholowa. Rozpoczęła ona swoją wędrówke od Lwowa, a przeszedłszy szereg miast galicyjskich, zawitała obecnie do Krakowa. Wystawa ta na oko może nie przedstawia się tak efektownie. Przeważnie ściany zapełniają różnego rodzaju tablice graficzne. Zasadniczo jednak jest ona bardzo obfita w cenne materyały statystyczne, które dopiero dokładnie przeglądnięte dają pojęcie o tem, jak niszczący wpływ na rozwój społeczeństwa wywiera alkohol.



Ustąpienie polskiego ministra: Nowy kierownik ministeryum skarbu, szef sekcyi Engl.



Wystawa antyalkoholowa w Krakowie: Dwa obrazy art. malarza J. Męciny Krzesza, znajdujące się na wystawie.

W Krakowie urządzenie wystawy przyszło do skutku dzięki pomocy rady miejskiej i osobistemu poparciu prez. dr. Leo, który przyjął nad nią protektorat. Pomieszczona ona została w obszernej pracowni malarskiej przy ul. Gołębiej.

Na uroczystość otwarcia przybyli prez. dr. Leo, rektor Wszechnicy dr. Kostanecki, prof Wicherkiewicz, radca ks. dr. Caputa, wielu lekarzy tak wojskowych, jak i cywilnych. Przemawiali przy otwarciu dr. Leo, prof. Kostanecki, ks. Bisztyga i St. Nowak.

Wystawa sama dzieli się na szereg działów przedstawiających po kolei: działanie alkoholu, wpływ na czynności umysłowe i fizyczne, choroby i zwyrodnienia, spowodowane alkoholem, wpływ na dziedziczność, wychowanie, zbrodnie i nieszczęśliwe wypadki, wpływ na stosunki gospodarcze.

Obok szeregu fotografii różnych osobistości pracujących na polu walki z alkoholizmem, znalazły się na wystawie dwa piękne obrazy art. malarza J. Męciny Krzesza. Jeden z nich przedstawia „przekleństwo“ rzucone na męża pijaka przez nieszczęśliwą żonę w publicznej szynkowni, drugi zaś illustruje badanie alkoholików w szpitalu św. Anny w Paryżu.

Wystawa cieszy się wielkiem zainteresowaniem. W dzisiejszym numerze podajemy widoki dwóch fragmentów wystawy.



Zamknięcie sezonu wioślarskiego: Grupa członków krakowskiego oddziału wioślarskiego „Sokoła“.

Uroczystość na cześć Ks. Józefa Poniatowskiego w Krakowie.

Rocznica śmierci Ks. Józefa Poniatowskiego będzie bardzo uroczyście obchodzona w Krakowie. Na 19-tego października przygotowują się wielkie ćwiczenia sokole, oraz uroczysty obchód, który obejmie szereg manifestacyi, bardzo poważnych. Ponieważ jednak tak obfity program nie dał się ująć w ramy jednego dnia, podzielono go na kilka części.

W ubiegłą niedzielę rozpoczęły się one uroczystym obchodem ku czci Ks. Józefa Poniatowskiego urządzonym przez obywateli Półwsia Zwierzynieckiego i Zwierzyńca. W obchodzie tym, prócz tłumów publiczności, wzięło udział prezydyum rady m. Krakowa, oraz liczne grono radnych, cechy krakowskie z chorągwiami i liczne okoliczne włościaństwo.

O godzinie 10-tej rano z dziedzińca klasztoru SS. Norbertanek ruszył uroczysty pochód, poprzedzany banderyą włościańską do kościółka św. Salwatora, gdzie ks, kanonik Pilchowski odprawił uroczystą Mszę św. poczem na ścianie kościółka odsłonięto pamiątkową tablicę. Przy odsłonięciu przemawiał chłopczyk Polewka, oraz obywatel Zwierzyńca p. Matz. Przyjął opiekę nad tablicą imieniem miasta wiceprez. dr. Szarski.

Po odsłonięciu tablicy pochód ruszył do willi „pod Lipkami“, gdzie w czasie ostatniego swego pobytu w Krakowie przebywał Ks. Józef Poniatowski. Tam wygłoszono kilka okolicznościowych mów. Po południu na zakończenie uroczystości odbył się wieczorek pamiątkowy wobec licznie zgromadzonej publiczności.

Zamknięcie sezonu wioślarskiego.

W ubiegłą niedzielę w Warszawie i w Krakowie sympatyczne drużyny wioślarskie zakończyły swą kampanię. Zamknięcie przystani warszawskiego Towarzystwa wioślarskiego odbyło się, jak zwykle, uroczyście, wobec licznego grona członków i gości, którzy parowcem udali się na wycieczkę do Młocin.

Oddział wioślarski Sokoła krakowskiego na zakończenie sezonu urządził rekordowy bieg dystansowy sześciowiosłówki na przestrzeni Bodzów-Kraków. Bieg ten, odbyty w niekorzystnych warunkach, przy przeciwnym wietrze, przy temperaturze 8⁰, wykazał czas jazdy 17 min. $37^4/_5$ sek., długość drogi wynosiła 4·627 km. Znakomicie zjeżdżona osada składała się z pp.: G. Walusia, K. Karwata, St. Bieleckiego, M. Sapeckiego, W. Małczyńskiego i W. Laurynowa. Sternikiem był inż. A. Bobkowski.

Oddział wioślarski Sokoła krakowskiego zreorganizowany w b. r. zupełnie, rozpoczął obecnie nowy okres istnienia. Zmuszony z powodu robót regulacyjnych opuścić swą dotychczasową przystań na Rybakach, przy energicznej akcyi zarządu, a dzięki niezwykłej życzliwości prezydyum miasta, uzyskał dla nowej przystani dogodne miejsce na lewym brzegu Wisły przy moście zwierzynieckim. Szatnie i kancelarye umieszczono w budynku stacyjnym dawnej kolei obwodowej, dla pomieszczenia bogatego taboru łodzi (w liczbie 13) wybudowano nad brzegiem obszerną halę. Prócz tych prac, poczyniono również starania u rządu celem uwzględnienia w projekcie regulacyjnym życzeń wioślarzy w kierunku uzyskania odpowiedniego basenu dla wielkiej pływalni, oraz stworzenia przystani dla łodzi motorowych, ratowniczych i spacerowych.



Zamknięcie sezonu wioślarskiego: Ostatnia sezonowa wycieczka warszawskiego Towarzystwa wioślarskiego do Młocin na statku „Goniec“. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Katastrofa kolejowa pod Stanisławowem.

(Do illustracyi na str. 4).

Okolica Bukaczowce nie ma jakoś szczęścia do ruchu kolejowego. Po raz drugi już w tamtej stro-





Uroczystość na cześć Ks. Józefa Poniatowskiego w Krakowie:
Przy odsłonięciu pamiątkowej tablicy przemawia chłopczyk Polewka. Tłumy zebrane na cmentarzu obok kościoła św. Salwatora.



Wystawa antyalkoholowa w Krakowie: Fragment z sali wystawowej.

nie wydarza się większa katastrofa kolejowa. Przed kilku laty podczas rozbicia się pociągu pod Łukaczowcami szkody były równie wielkie, a kolej zapłaciła znaczne odszkodowanie.

Przed kilku dniami znowu na tej linii wydarzyła się katastrofa. Pociąg towarowy najechał między stacyami Bursztyn i Bukaczowce za Stanisławowem na wózek kolejowy, co pociągnęło za sobą straszne skutki. Lokomotywa i 11 wagonów wyskoczyło z szyn. Maszynista i dwaj konduktorzy zostali poranieni. Najciężej poraniony został konduktor Maryan Krzysztofowicz, który ma całą twarz zmiażdżoną.

Rozbite wozy zawaliły tory tak, że musiano ruch pociągów wtrzymać i skierować je na inną linię kolejową.

Ustąpienie polskiego ministra.

Niespodziewanie, w chwili dla kraju naszego bardzo ważnej, została Galicya pozbawiona w radzie koronnej austryackiej poważnego przedstawiciela. Przed kilku dniami nadeszła z Wiednia wiadomość, że minister skarbu Zaleski opuszcza swe stanowisko ze względu na nadwątlone zdrowie. Minister Zaleski już od dwóch lat chorował na serce. Choroba ta w ostatnich miesiącach zrobiła takie postępy, iż lekarze i rodzina uznali za konieczne, aby p. Zaleski albo ze stanowiska swego zudełnie ustąpił, albo też wziął kilkumiesięczny urlop.

Na razie też p. Zaleski wyjechał na kilka miesięcy na kuracyę. Prawdopodobnie jednak na swoje stanowisko już nie wróci.

Kierownikiem ministeryum skarbu został najstarszy szef sekcyi, dr. Engl von Mainfelden. Nie cieszy on się zbytnią sympatyą sfer polskich, do których zawsze odnosił się nieprzychylnie. Zmiana ta, w chwili kiedy od decyzyi ministra skarbu zależy wysokość pomocy, z jaką państwo przyjdzie zniszczonej klęskami elementarnymi Galicyi, jest dla całej akcyi, prowadzonej przez Koło Polskie, bardzo niebezpieczną.

Przykra afera szpiegowska.

Przed kilku dniami Lwów poruszony został niezwykłą sensacyą. Policya od dłuższego czasu śledziła za pewnym spiegiem-prowokatorem, który pracował na rzecz obcego mocarstwa. Osobnik ten występował pod nazwiskiem Szymańskiego. Długo nie można było wpaść na właściwy ślad, aż dopiero przed kilku dniami aresztowano znanego działacza



Przykra afera szpiegowska: Aresztowany we Lwowie znany działacz Leon Krzemieniecki

wśród sfer polskich we Lwowie, Leona Krzemienieckiego.

Materyały zabrane podczas rewizyi i listy przychwycone na poczcie wykazały jasno, że on właśnie uprawia już od kilku lat szpiegostwo, zarówno polityczne, jak i wojskowe na rzecz obcego mocarstwa.

Aresztowany Krzemieniecki z początku wypierał się winy, wobec jednak przedstawionych mu dowodów, przyznał się z całym cynizmem do zarzucanych mu zbrodni. Oświadczył, że pracę swą uważa za „ideową“, bo jemu się wydaje, że właśnie taka działalność dla Polski jest pożądana.

Afera ta wywołała bardzo przykre wrażenie, gdyż Krzemieniecki uchodził za uczciwego obywatela i był przyjmowany w wielu domach poważnych osobistości.

Wyścigi cyklistów i motorzystów we Lwowie.

Lwowskie Towarzystwo kolarzy na zakończenie sezonu letniego urządziło przed kilku dniami wyścigi cyklistów i motorzystów. Projektowano urządzenie tych zapasów z początkiem bież. miesiąca, wobec jednak słoty odłożono je, ale zamiast słoty przyszedł mróz i zimno. Mimo to lwowscy cykliści stanęli licznie do wyścigów.



Wyścigi cyklistów i motorzystów we Lwowie: Uczestnicy korsa kwiatowego. (Fot. M. Waydowicz, Lwów).

Inauguracyą wyścigów było korso kolarzy, urządzone przedpołudniem po ulicach miasta. Wzięło w niem udział kilkanaście ładnie udekorowanych maszyn, między którymi kilka wyróżniało się efektowną pomysłowością.

Po południu odbył się meeting. Objął on dziewięć biegów z zapowiedzianych jedenastu, dwa bowiem odpadły z powodu zapadającego mroku. Zdobywcami licznych nagród z pośród cyklistów był „Staszek“, z motorzystów zaś p. Michaliszyn.

Publiczność dosyć żywo interesowała się wyścigami, które dostarczyły niejednego ciekawego momentu.

Po wyścigach odbył się wspólny komers, na którym rozdano nagrody.

Szkoła pielęgniarek w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 7).

Pielęgnowanie chorych jest jednym z najszczytniejszych zawodów. Na Zachodzie już od dawna zdobyto przeświadczenie, że do tego zadania powołane są przedewszystkiem kobiety, jako obdarzone większą wrażliwością na cierpienia bliźnich, a delikatnością uczuć. U nas również zaczyna sobie torować drogę ten prąd, czego wyrazem są tak licznie powstające w ostatnich czasach w Galicyi kursa samarytańskie. Obecnie w Warszawie powstała, założona przez dr. Grużewską, zawodowa szkoła pielęgniarek, która ma za zadanie dostarczyć społeczeństwu zastępu wyszkolonych w tym kierunku pracowniczek. Odpowiada ona istniejącej rzeczywiście i dającej się odczuwać społecznej potrzebie i dlatego nowej szkole wróżyć można powodzenie.

Nowa instytucya humanitarna w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 10).

Wśród wielu instytucyi humanitarnych, które na gruncie warszawskim rozwijają swoją działalność, zasługuje na wyróżnienie Towarzystwo pomocy ubogim matkom wyznania mojżeszowego. Założone w roku 1908 postawiło sobie za cel spieszenie z pomocą biednym położnicom. Z początku bardzo nieliczne i niezasobne, ograniczało swą pomoc do udzielania rodzącym matkom prowiantów, bielizny i t. p. Wkrótce jednak dzięki ofiarności i pracy jednostek, Towarzystwo otworzyło przy ul. Leszno mały zakład bezpłatny pomocy na kilka łóżek.

Obecnie podjęło Towarzystwo największą swą pracę. Oto staraniem jego został przed kilku dniami otwarty duży bezpłatny zakład położniczy przy ul. Ceglanej. Zakład mieści się w obszernych sześciu salach, w których znajduje się 45 łóżek. W razie koniecznej potrzeby liczba ich może być znacznie zwiększona. Obok sal chorych znajdują się pok operacyjne, izolacyjne, przyjęć, ambulatoryum słowem kompletne urządzenie szpitalne.

Do zakładu przyjmowane są chore bez różnicy wyznania. Na uroczystość otwarcia nowej instytucyi przybyło liczne grono gości i członków, których Towarzystwo liczy obecnie tysiąc dwieście.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 40.

Logogryf:

K	a	n	t	a	l	u	**p**
O	p	i	l	s	t	w	**o**
W	i	d	u	k	i	n	**d**
E	z	e	c	h	i	e	**l**
R	o	v	e	r	e	d	**o**
S	e	r	w	i	t	u	**t**
K	o	m	p	a	n	i	**e**
A	u	s	t	r	y	a	**k**

Równanie: Banita + łuna + placki = **Bałucki.**
Rosa + rubiny + Helena = **Sabina.**

Przysłowiówka: Głodnemu chleb na myśli. Na bezrybiu i rak rybą.

Zadanie do przestawienia: Gdzie dyabeł nie może, tam babę poszle.

Zagadka literacka: Bez dachu.

Trójkąt magiczny:

K	**o**	**ś**	**c**	**i**	**u**	**s**	**z**	**k**	**o**
O	d	m	i	e	n	i	e	c	
Ś	w	i	e	c	z	k	a		
C	e	r	k	i	e	w			
I	n	t	r	u	z				
U	r	s	y	n					
S	a	w	a						
Z	ą	b							
K	T								
O									

Bilety wizytowe: Wiolinista. Mandolinista. Cytrzystka. Wiolonczelistka.

Przeplatanka:

	Z		G		S	
Z	w	a	r	d	o	ń
	a		o		l	
G	r	o	m	n	i	k
	d		n		n	
S	o	l	i	n	k	a
	ń		k		a	

Przysłowiówka: Jak dbasz, tak masz. Jaka praca, taka płaca.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, H. Mróz Janów, M. Zamojski Lublin, J. Cieśliński Rzeszów, D. Engelberg Rzeszów, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, K. Giżyńska Kijów, H. Gliński Kołomyja, J. Lewiński Piotrków, R. Michalski Lwów. S. Krzyżanowski Podgórze, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg, T. Kępiński Łomża, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, H. Wiewiórowski Jasło, J. Wilczkiewicz Sanok, J. Jakubowska Kraków, K. Osuchowski Warszawa, J. Lipski Kraków, J. Pawłowski Lwów, M. Arbesbauer Lwów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blätterfeind Kołomyja, D. Rosenbaum Rzeszów, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, S. Medyński Zakopane, J. Kwaśniewski Przemyśl, T. Trąbczyński Przemyśl, D. Schwadron Kraków, W. Świrski Piotrków, S. Rozgozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Kunz Czerniowce, K. Kaim Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Kruszelnicki Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, D. Zawadzki Jasło, R. Pawłowski Zamość, M. Rawska Głogów. J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów, S. Karczmarski Poddębie, M. Cichocka Brzeżany, H. Mazurkiewicz Lwów, W. Kownacki Poznań, H. Zegartowska Bogucice, K. Ostrowski Sandomierz, A. Biliński Lwów, K. Sroczyński Wilno, H. Bukowska Winnica, J. Maciejowski Lwów, R. Topolnicki Kamieniec, M. Obst Lwów, J. Pick Warszawa, B. Sługocki Lwów, H. Radomska Kraków, J. Kalinowska Mińsk, S. Wysoczański Poznań, S. Karwowski Gniezno, G. Górski Petersburg, J. Charzewski Kraków, M. Sokołowska Kraków, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa. I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, W. Potocka Tarnów, K. Armatys Kołomyja, J. Lisowski Sanok, R. Czarkowski Sokal, D. Chmura Lwów, H Piątek Podwołoczyska, J. Reiter Brody, D. Jahoda Cieszyn, R. Obraczay Morawska Ostrawa, Z. Sperling Wiedeń, H. Trojacka Wiedeń, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, R. Gawiński Kraków, Z. Serwański Jasło, J. Halski Janów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **H. Wolański, Dąbrowa.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.

Przed pierwszym śniegiem.

(W). Pierwsze przymrozki pobieliły już pola, lada dzień rano obudzić nas może blask białych płatków śniegu, który utuli ziemię do spokojnego snu. Za przykładem ziemi i my musimy pomyśleć o bardziej ciepłem otuleniu się, gdyż zimno coraz bardziej zaczyna przenikać i zagraża poważnie wyciętym i ażurowym sukniom. Wprawdzie na pochwałę kobiet powiedzieć trzeba, że dla nas zimno nie jest tak „straszne", jak dla mężczyzn. Moda wyciętych sukien, odsłaniających karczek i głęboko wykładanych kołnierzy nie ustanie wcale z nastaniem zimy. Kobiety bowiem do zimna szybko się przyzwyczajają i wcale nie myślą tej bądź co bądź ładnej mody zarzucać.

Poradzono sobie jedynie w ten sposób, że wprowadzono tiulowe lub gazowe *colerettes,* którymi osłania się szyję w zbyt chłodne dni. *Colerettes* te jednak stały się raczej nową sposobnością do wymyślania najrozmaitszych ozdób do sukien i bluzek.



Płaszcz zimowy z brokatu, bramowany futrem.

Z dziedziny nowych oryginalnych pomysłów mody podnieść trzeba przedewszystkiem coraz większe uznanie, jakie w kobiecym świecie zyskują sobie rude włosy. Wprawdzie przysłowia nie bardzo pochlebnie wyrażają się o rudych, ale moda wyrosła ponad wszelkie przesądy i wcale nie obawia się tych złych prognostyków, jakie do rudych włosów są przywiązane. W nowym sezonie więc rude włosy zajmują pierwsze miejsce. W dziwny sposób moda ta się zrodziła.

Uznano jako *clou de mode* w tym sezonie rude lisy, a ponieważ harmonia kolorów jest pierwszym warunkiem powodzenia, dostosowano włosy do futra i uznano kolor rudy za *clou de saison.*

Jeden z wybitnych londyńskich znawców mody w ten sposób opisuje wygląd modnej damy:

„Nosi ona białe suknie z boa i mufkiem z rudego lisa. Kolor włosów musi być ciemno-kasztanowy, a płeć jej wpada w lekki odcień ciepłego fioletu, ale bardzo delikatnego, właściwego tylko rudym. Uzupełnienie stroju stanowi sznur bursztynów w ciepłym, złotawym tonie".

Wobec tego utlenianie włosów, które dotychczas najczęściej zmieniało kolor damskich fryzur ustąpić musi pierwszeństwa farbowaniu na kolor rudy w najrozmaitszych odcieniach, dostosowanych do barwy skóry, ciemniejszej lub jaśniejszej. Do farbowania używana będzie *henna,* barwik pochodzenia arabskiego. Na wschodzie kobiety, zwłaszcza arabskie, posługują się nią od dawnych czasów, zwłaszcza do barwienia brwi.



Modne fryzury: 1. Fryzura upięta ozdobnymi grzebykami. 2. Nowomodna fryzura z podpięciem szeroką przepaską. 3. Fryzura wieczorowa, przybrana perłami.

Wobec coraz zimniejszego czasu na pierwszy plan wysuwają się płaszcze. Drapowane suknie wymagają płaszczy szerokich, któreby nie gniotły tych bufek i fałdzików, którymi obficie się suknie stroją.

Za czasów *rococo* używano z powodzeniem płaszczów zwanych *faille,* które stanowiąc przeciwstawienie sztywnym fasonom sukien, drapowane były bardzo wdzięcznie. Obecnie także przeżywamy pewien renesans pod tym względem. Obecne płaszcze to szerokie, luźnie zarzucone okrycia, które często przerzuca się tylko przez ramiona i przytrzymuje rękami. Zrobione z jedwabiu lub futra w wdzięcznych liniach drapują się na figurze.

Bardzo modny jest płaszcz na sposób hiszpański, drapowany na jednem ramieniu, a przerzucony przez drugie. Obok niego występuje śliczna *cape,* która przypomina tak znane *rococo-albè* i noszona jest z szerokim wykładanym kołnierzem szalowym, odsłaniającym dosyć głęboko szyję. Płaszcz kapiszonowy znowu powraca w tym sezonie, kapuzy wiszące z tyłu na plecach mają przywieszony duży kutas. Najwygodniejszym jednak płaszczem jest szeroki, biały burnus.

Płaszcze wieczorowe stały się bardzo kosztowne. Robione z futra, brokatu lub aksamitu hołdują jednak takim samym fasonom, opływają w lekkich liniach figurę, nadając całości delikatną harmonię.



Wybryk mody, całe futro tygrysie jako boa i zarękawek.

Nie wystarczy jednak w tym sezonie mieć ładny, modny płaszcz. Trzeba go także umieć odpowiednio nosić. I o tem słów kilka, Modne płaszcze nosić należy z pewną, dobrze obliczoną, niedbałością, aby zawsze robiły wrażenie, że dopiero co zostały zarzucone na ramiona i w lekko ułożonych fałdach odsłaniają kontury sukni i ciała. Moda ta jest niebezpieczna, bo dama, któraby nie umiała odpowiednio „zaimprowizować" ubrania się w taki płaszcz, łatwo może narazić się na to, że wyglądać będzie jak ociężały ptak, który ma niezręcznie związane skrzydła, którymi nie umie poruszać. Przed kilku laty noszono rękawy, które nazwano pingwinami, gdyż przypominały owe ciężko poruszające się ptaki. Podobnie wyglądają damy w nowoczesnych płaszczach, nie umiejące ich nosić. Natomiast dama, która umie ubrać się w modny płaszcz, jednem zgrabnem poruszeniem ręki potrafi ułożyć fałdy płaszcza tak zgrabnie, że zgrabne linie figury dobitnie się zarysują.

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

17

— Matjasi — zapytał — czy tam u was... w Indyach, nikt nigdy nie domyślił się niczego? Nie podejrzywał?

— Ja tylko jeden, panie, znałem prawdę! W tych czasach żadne jeszcze dzienniki nie dochodziły do naszego kraju. Tak w Anglii wiedzą. I jest to jeden z ich środków do działania przeciwko mnie.

— Zapominasz, panie, że w interesie Anglii jest żyć w zgodnych stosunkach z naszym krajem.

— Tak zapewne — potwierdził książę. — Nienawidzę szczerze Anglików, jak każdy prawowity, fanatyczny wyznawca naszej religii, ale muszę schylić głowę przed ich potęgą. Działam więc jako dobry polityk i szczery patryota, kiedy głoszę i staram się wpłynąć na zgodę obydwu tych krajów. Ale nie o sprawach politycznych mówić z tobą chciałem, Matjasi. Powiedz mi, czy od przyjazdu naszego do Paryża, nie padłeś na ślad jaki? Czy nie dowiedziałeś się czego o tamtym, któregośmy mieli w naszych rękach?

— Wiesz panie, że uciekł z więzienia w chwili, w której chciałeś go kazać wypuścić na wolność, w zamian za wyznanie prawdy! Ale tamci widocznie nas ubiegli!

— Ah! łotry! — mruknął książę. — Słuchaj, czy ten lekarz był Francuzem?

— Bez najmniejszej wątpliwości!

— Smiały, i zręczny! Musiał się kazać dobrze opłacić. A ty, Matjasi, nie odnalazłeś go w żadnym z doktorów zamieszkających Francyę?

— Panie mój. Wystarałem się o spis lekarzy francuskich z ich fotografiami i w żadnym nie roz poznałem tego, którego szukałem. Nawet podobieństwa uchwycić nie mogłem!

— A więc dojdziemy do wykrycia tajemnicy przez ojca — wyrzekł głucho książę! Człowiek to widocznie energiczny bardzo i przebiegły. Człowiek, który mógł wymyślić plan tak odważny i któremu śmierć tylko stanęła na przeszkodzie! On także musiał ją kochać gorąco! Zależało mu na dziecku, skoro dołożył wszystkich starań, aby zachować je przy życiu! Jestem przekonany, że później był dobrze poinformowany o każdym moim kroku, że ciągle nosił się z myślą porwania mi Kity, tak jak porwał jej matkę! Ale dziecko moje za dobrze jest strzeżone i plan jego udać się nie mógł! Rozmyślnie zgodziłem się na samotne spacery księżniczki z Angielką, ale przyjdzie czas, w którym wpadnie jeszcze w zastawione przezemnie sidła! A wtedy ja z nim będę miał do czynienia!

Gość.

Na wielkiem przyjęciu u księcia Kiwani, John-Goldenspeech lord Cateley był gościem najuprzejmiej witanym.

Pomimo wybitnej brzydoty, przedstawiał się bardzo korzystnie. Powitawszy księcia, zwrócił się do jego małżonki.

— Ah! nareszcie mylordzie! — zawołała księżna Sahadża. — Oczekiwaliśmy pana z takiem zniecierpliwieniem. Wszyscy w tym pałacu mówią tylko o panu.

Zbliżył się książę, przedstawiając doktora Mateusza Gewolskiego.

— Do tego stopnia — odezwał się uprzejmie Gewolski, który słyszał ostatnie słowa księżnej — że gdy wspomniałem księżniczce, iż obiad w towarzystwie tylu osób będzie dla niej zanadto męczącym i lepiej uczyni pozostając w swoim pokoju — urządziła mi formalną scenę.

— Oh! — zawołał lord Cateley z rozczarowaniem — więc nie będę miał radości ujrzenia Jej Wysokości?

— Tak źle nie będzie — odpowiedział Gewolski. — Namówiłem księżniczkę na kilka godzin odpoczynku i pozwoliłem jej ukazać się później, przy herbacie. Oh! Gdyby nie to! — dodał uśmiechając się — byłaby gotowa mnie oczu pozbawić!

Błysk radości przeniknął po ogorzałej twarzy lorda Cateley. Obecny sekretarz Majtasi pochwycił go ze zdziwieniem i zanotował w pamięci.

Podczas obiadu, dość nudnego i oficyalnego, rozmowa przeszła na Indye, ich religię i obyczaje.

— A pan, lordzie Cateley — odezwał się nagle książę — czy nie powie pan nic o tym przedmiocie. Podróżując tyle, mogłeś mieć szerokie pole do porównań!

— Nie znam Indyi — odparł spokojnie lord Cateley. — Przejeżdżałem raz tylko przez Księstwo Kiwani, udając się do Tybetu.

W tej chwili poczuł na swojej twarzy przenikliwy wzrok księcia, podniósł więc oczy i spojrzenia ich skrzyżowały się. Spojrzenie lorda Cateley spokojne było i pogodne! Najlżejsze wzruszenie nie malowało się na poważnej, zimnej twarzy.

Jednakże wewnętrzny jakiś niepokój, czy oczekiwanie, mąciło zwykłą pogodę lorda. Zaledwie bowiem powstano od stołu i lord odprowadził księżnę Sahadżę do salonu, kilkakrotnie z gorącem wyczekiwaniem w oczach spojrzał ku drzwiom. I nagle wszystkie rozmowy przycichły, a twarz księcia Kiwani rozjaśniła się radosnym uśmiechem. W drzwiach salonu stanęła księżniczka Kita. Zamiast białej sukni, umyślnie na ten dzień zamówionej przez księżnę dla przybranej córki, mała księżniczka miała na sobie wspaniały kostyum indyjski z jasno niebieskiego jedwabiu, pokryty drogimi haftami z pereł i złota. Głowę jej wieńczył dyadem, złożony z olbrzymich szmaragdów, szafirów i brylantów.

Było to jakby uosobione pojawienie się Indyi, w tym salonie nawskroś paryskim.

Uszczęśliwiona z odniesienia wrażenia, przebiegle dawno już obmyślonego, księżniczka zawołała z udaną pokorą:

— Czy uzyskam, drogi, ojcze przebaczenie twoje, za to przebranie? Krawcowa zapomniała, że powracam dzięki doktorowi Gewolskiemu do zdrowia i zrobiła mi suknię według dawnej miary. Nie miałam wyboru. Musiałam przywdziać kostyum mojej drogiej matki!

Na te słowa, książę szybko zwrócił się do lorda Cateley. Ten zachował dotąd postawę spokojną i zimną, dzięki usilnemu panowaniu nad sobą, ale na wspomnienie zmarłej wargi jego zadrżały i oczy straciły blask zwykły! Ale pod badawczem spojrzeniem księcia zdołał się opamiętać i głosem uprzejmym, choć trochę drżącym, wymówił kilka grzecznych słów do księżniczki Kity.

Matjasi podsunął do księcia i szepnął cicho:

— O, panie mój! Czy słyszałeś! Wspomniała o matce i...

— Milcz i patrz dobrze — rozkazał książę.

Wszyscy goście, przywitawszy owacyjnie księżniczkę, zajęli dawne miejsca. Wielu mężczyzn przeszło do fumoiru. Pomiędzy nimi znajdował się lord Cateley. Księżniczka stanęła na progu, w chwili, gdy lokaj podawał lordowi na złotej tacy filiżankę czarnej kawy. Książę spojrzał na córkę i uczynił znak ręką.

Księżniczka zrozumiała; delikatnym ruchem odsunęła lokaja, odebrała od niego tacę i czarującem uśmiechem podała lordowi filiżankę.

Dreszcz wstrząsnął lordem Cateley. Chciał coś mówić, ale słowa uwięzgły mu w gardle, a ręka obejmująca filiżankę drżała tak silnie, iż nie zdołała jej utrzymać. Filiżanka potoczyła się na dywan, rozsypując w kawałki...

Księżniczka roześmiała się serdecznie.

— Dobry to znak, lordzie Cateley — zawołała — dla pana i dla nas! Niech więc pan nie żałuje tej filiżanki!

Jan Kerlack malarzem.

„Pani!

W imieniu Jej Wysokości, księżniczki Kiwani, mam zaszczyt zakomunikować pani, co następuje:

Stan zdrowia księżniczki wymaga obecnie wielu starań, wobec czego doktor Gewolski zabronił wszelkich przejażdżek automobilem i koleją. Księżniczka nie będzie więc mogła tak, jak to było umówione, być w Samoi's, by doręczyć pani obrazy, które pragnie pani powierzyć.

Prosi więc panią uprzejmie o odwiedzenie jej jutro w popołudniowych godzinach, załączając wiele uprzejmych słów, które zechce pani przyjąć wraz z mojem zapewnieniem sympatyi.

Ewangelina Goldenspeech".

Książę Kiwani był zawsze bardzo troskliwy o zdrowie swojej ukochanej córki, a w ostatnich czasach troskliwość ta powiększyła się jeszcze. Zaopiniował on po wielkiej konferencyi z doktorem Gewolskim, że należy oddalać od księżniczki wszystko, co by mogło wzruszyć ją lub zmęczyć, dlatego też spacery do lasku bulońskiego i Louvru, z których powracała zanadto ożywiona i rozgorączkowana, ustały zupełnie.

Gewolski z konferencyi z księciem wyniósł wrażenie, że książę chce, aby księżniczka jeszcze nadal, pomimo widocznego powrotu zdrowia, była strzeżona i otoczona opieką jak dawniej.

Dla księżnej i Gewolskiego rozkaz księcia był jasny, zrozumiały. Powziął on podejrzenie w kierunku lorda Cateley i jego to strzedz się chciał!

Książę Kiwani coraz więcej teraz potrzebował towarzystwa Gewolskiego. Spędzał z nim wiele godzin, zamknięty w swoim gobinecie, rozpalając się rozmową, w coraz to innych przedmiotach naukowych.

Dnia tego książę prosił doktora o dokładne wytłomaczenie mu prac Pasteur'a jego teoryi o mikrobach.

— Ależ to wprost nadzwyczajne, mój drogi doktorze — mówił ożywiony — ale i straszne, aby człowiekowi zdrowemu zaszczepiać zarazki, niszczące choroby!

— Czyni się to dla dobra ludzkości. Zresztą osobnikowi takiemu wszczepia się jedynie taką dozę mikrobów, by mógł oprzeć się prawdziwej chorobie, w razie wypadku.

— Ale, doktorze, co rzeczywiście straszną rzeczą stać się może, to ta potęga, którą wówczas roz-

porządzać może lekarz do woli. Naprzykład pacyent, cokolwiek tuberkuliczny, któremu aplikuje się serum dla uzdrowienia! Zdarzyć się może, że chory ten krępuje rodzinę... lub pewne projekta polityczne, co doktorze? Dawniej takich sztyletowano, lub gładzono zapomocą trucizny, a teraz cokolwiek więcej infekcyi i koniec!

— Tak, to prawda, wszystko się udoskonala w życiu — odparł zamyślony Gewolski.

— Ale, à propos, doktorze, skoro mówimy o chorobach — rzekł książę z nagłem ożywieniem. Jakiż rezultat wykazały prądy elektryczne w leczeniu tych dwóch murzynów, których dostarczono panu, chorych na śpiączkę?

Gewolski skrzywił się niezadowolony.

— Próbowałem wszystkiego, ot tak dla spokoju sumienia, ale w tych chorobach nowych, prawie nieznanych...

— I to powoduje zwykła mucha!? — pytał dalej książę, udając obojętność, lecz niezwykły blask oczu zdradzał silnie jego zainteresowanie.

— Tak, mucha „tsé-tsé", która przenosi chorobę z jednego człowieka na drugiego, zatruwając mu krew.

— Proces zatrucia trwa dość długo — nieprawdaż?

— Rok, ośmnaście miesięcy, czasem i dwa lata.

— A więc, wystarczy być ukąszonym przez muchę tsé-tsé, aby po roku lub dwu wpaść w chorobę zwaną śpiączka — wyrzekł dobitnie i powoli książę.

Gdy wymawiał te słowa, spojrzenie jego pobiegło gdzieś w dal, a wargi lekko zadrżały...

— Przypuśćmy, że taki wypadek wydarzył się naszemu przyjacielowi, lordowi Cateley — mówił dalej książę, że podczas tych wypraw jego w celu podbicia murzynów, jeden z nich, fanatyk może, wpadł na szatańską myśl sprowadzenia na szyję uspionego zwycięzcy muchy tsé-tsé?

Księżna Sahadża, która od chwili już asystowała rozmowie, zamieniła porozumiewawcze spojrzenie z doktorem Gewolskim. Czy dobrze rozumieli myśl księcia? Nie było bowiem wykluczone, aby to, co się stać mogło w Afryce, nie miało się stać w Europie!! Czy odkrył już całkiem prawdę, czy też dręczyło go niejasne podejrzenie?... Ale w takim razie, w jakim celu zdradzał się przed nimi? przed Mateuszem Gewolskim szczególnie?

Lekkim ruchem ręki książę odepchnął te myśli od siebie i zwrócił do swojego gościa twarz uśmiechniętą i uprzejmą.

— Do jakich dziwnych hypotez dochodzi się, badając wiedzę — zauważył spokojnie. — Nie mówiłem panu jeszcze, że dziś otrzymałem od Matjasego, który na moje zlecenie wyjechał do Londynu, aby dowiedzieć się szczegółów o tych fakirach pokazywanych na wystawie indyskiej, ciekawy telegram. Matjasi donosi mi, że jest tam jeden wystawiony w lakowej trumnie, w której leży już uśpiony drogi rok. Oczekuje lada chwila Matjasego, jeżeli się okaże potrzeba pojadę do Londynu i chciałem właśnie prosić pana o towarzyszenie mi.

— Z największą przyjemnością. Sprawy te interesują mnie również żywo — zaczął Gewolski. Lecz w tej chwili przerwał. Z dalszych pokojów dochodziły jakieś okrzyki.

— Oh! — zawołał książę powstając. — Co to jest? Coś się dzieje w pokojach mojej córki! Pewnie atak nerwowy! Mówiłem ci, doktorze, że stan jej znowu niepokoić mnie zaczyna. Chodźmy tam! chodźmy!

W kilku skokach znalazł się na progu gabinetu księżniczki i stanął zdumiony i uspokojony. To miss Ewangelina krzyczała tak głośno, manifestując radość swoją i zdziwienie, obok niej stał człowiek silnej postawy o ogorzałej sympatycznej twarzy, okolonej gęstą rozwichrzoną brodą.

— Jak mogłam się tak pomylić — wołała już teraz miss Ewangelina rozczarowana. — Wzięłam pana za Piotra Lebounier i ucieszyłam się tak bardzo! Więc naprawdę pan nie jest Piotrem Lebounier?

— Pierwszy raz słyszę to nazwisko — odpowiedział spokojnie zapytany.

— I to nie pana spotkalam na okręcie, który mnie wiózł do Indyi?

— Nie opuszczałem nigdy Francyi.

Widząc zakłopotanie swojego gościa, księżniczka Kita, stojąca opodal z widocznie bardzo wzruszoną młodą dziewczyną, podeszła i wmieszała się do rozmowy bardzo uprzejmie:

— Jakże jestem szczęśliwą, panie Morel, że pan powrócił do Sannois w samą porę, aby towarzyszyć dzisiaj swojej córce, chociaż jej bezgranicznie zaufałam i pragnę, aby ta robota była przez nią tylko wykonana.

W tej chwili księżniczka spostrzegła ojca i doktora.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Don Kichot, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko twórcy niepodległych Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Dziennik czeski. 3. Rzeka w Rosyi. 4. Owoc. 5. Imię męskie. 6. Rzemieślnik. 7. Muza. 8. Wyspa w zatoce Perskiej. 9. Rumak. 10. Dramat Wyspiańskiego. 11. Posiadłość francuska w Afryce. 12. Kraj w Europie. 13. Rzeka w gubernii Kowieńckiej. 14. Bożek grecki. 15. Starożytna nazwa Włochów.

Łamigłówka.

Ułożył W. M., Wadowice.

Do jakiego drzewa trzeba przylepić literę „a“, by odpowiednio przeczytawszy, otrzymać nazwę wyspy.

Przysłowiówka.

Ułożył Komeniusz, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia, idąc trzy razy z góry na dół, wyjąć po jednej głosce i ułożyć z nich znane polskie przysłowie:

1) Nie ciesz się bratku z cudzego upadku.
2) Nie zawsze świętego Jana.
3) Niema ognia bez dymu.
4) Nie utyje, kto nadzieją samą żyje.
5) Nie kupuj kota we worku.
6) Nie suknia zdobi człowieka.

Łamigłówka.

Ułożył W. Bogusz z Zabierzowa.

Uzupełnić podane wyrazy. Pierwszy rząd, czytany z góry na dół, poda okoliczność, na którą z ogromną niecierpliwością oczekują niektóre przeczulone Warszawianki.

— ara
— osa
— dra
— era
— zaw
— awa
— opa
— zon
— iwa
— ran
— lon
— kar
— gon
— asa
— ron.

Logogryf.

Ułożył Jan Szewioł, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Głoski, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą imię władcy, który swem niefortunnem wystąpieniem narobił swemu rządowi niedawno tyle kłopotu.

— — — □ — —
— — — □ — —
— — — □ — —
— — — □ — —
— — — □ — —
— — — □ — —
— — — □ — —
— — — □ — —
— — — □ — —
— — — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Galicyi. 2. Dozorca na wsi. 3. Zdrobniałe imię męskie. 4. Miasteczko w Galicyi środkowej, zwane ongiś „małym Krakowem“. 5. Inaczej obmowa. 6. Przepis, obowiązujący obywatela państwa. 7. Przykra ewentualność, czekająca każdego mężczyznę, który ukończył dwudziesty rok życia. 8. Zjawisko meteorologiczne. 9. Zdrobniałe imię żeńskie (używane u ludu). 10. Starosłowiańska uroczystość narodowa

Łamigłówka.

Ułożył W. M., Wadowice.

Wybrać cztery litery i przez odpowiednie ich kombinacye (z powtarzaniem), utworzyć pięć wyrazów czterogłoskowych. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą tytuł znanej polskiej powieści.

Znaczenie wyrazów: 1. Tego szukaj na wybrzeżu morskiem. 2. Pseudonim polskiego poety. 3. Wyrób cukierniczy. 4. Imię męskie. 5. Imię męskie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożyła Seminarzystka, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

N u c ę. o t o N o e D. l a d a c e b i a ł e s p o d n i e m a K o ł o.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *T. Lubińskiej:* **Jarzmo miłosne.**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejski